

Nr
339

protestuje

opowiadanie
piłkarskie
W samo południe

Sceny
miłosne

PL ISSN 0465-7667 Nr indeksu 38 620

nadodrże

CZYTELNIA

ZIELONA GÓRA
ROK XXXI NR 4 [635]

22 II — 7 III 1987 R.
CENA 20 ZŁ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY



Ubiegłoroczna miss Ziemi Lubuskiej tym razem zasiadała w jury. O tegorocznych prawyborach w konkursie piękności czyt. na str. 10.
Fot.: KRZYSZTOF MEZYNSKI

CZY DZIŚ MNIEJ PATRIOTÓW LOKALNYCH?

Dlaczego coraz mniej ludzi chodzi do kina, do teatru, do filharmonii? Dlaczego nie rozwijają się instytucje artystyczne, środowiska twórcze i upowszechniające kulturę? Dlaczego maleje liczebność partii wśród twórców i działaczy kultury? To tylko niektóre pytania, na które starali się odpowiedzieć zaproszeni do dyskusji redakcyjnej członkowie PZPR, od lat zaangażowani w realizację polityki kulturalnej partii i państwa. W dyskusji wzięli udział: Julian Dobosz — prezes Lubuskiego Towarzystwa Kultury, Jan Kolodziej — publicysta, Jan Muszyński — dyrektor Muzeum Ziemi Lubuskiej, członek Narodowej Rady Kultury, Wiesław Nodzyński — publicysta, Sobiesław Piontek — członek Prezydium Lubuskiego Towarzystwa Kultury, Stanisław Swiniarski — I sekretarz Komitetu Gminnego PZPR w Brodach, Jan Szachowicz — pracownik Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Zielonej Górze.

J. SZACHOWICZ: — Przygotowując się do dzisiejszego spotkania przewertowałem stare numery „Gazety Lubuskiej” i „Nadodrza”, a także protokoły z obrad Plenum i Egzekutywy KW PZPR w Zielonej Górze.

Nim przejdę do szczegółów, podam, że w przeszłości na łamach prasy i w dyskusjach partyjnych więcej się mówiło i pisało o życiu kulturalnym w naszym regionie. Do roku 1956 na posiedzeniach Egzekutywy bardzo często dyskutowano o szeroko rozumianej rewolucji kulturalnej, a szczegółowo o zwalczaniu analfabetyzmu, upowszechnianiu prasy i książki. W latach sześćdziesiątych, jak nigdy potem, głęboko wnikało w treść lubuskiego życia kulturalnego. W następnej dekadzie na posiedzeniach Egzekutywy dokonywano analiz treści przekazywanych przez instytucje artystyczne i środowiska twórcze społeczeństwu. Po roku 1980 o kulturze mówiono mniej i ciszej. Plenum Komitetu Wojewódzkiego po raz pierwszy w 1969 r. rozpatrywało program rozwoju kultury w województwie. Oceniono wówczas bogaty dorobek przeszłości i wytyczono zadania na daleką przyszłość, wskazując na specyfikę naszego regionu. Potem jeszcze trzykrotnie wojewódzka instancja partyjna jako główny temat swoich obrad podejmowała zagadnienia kultury i sztuki. Sprzyjało to wzbudzeniu zainteresowania życiem kulturalnym, przyczyniało się do rozwoju środowisk twórczych, a tym samym i województwa. Wyciągam z tego następujący wniosek: wszędzie tam, gdzie władza wspiera ruch kulturalny, następuje jego rozwój. Zaś administracyjne sterowanie kulturą, jak i wielu innymi dziedzinami naszego życia, prowadzi do uwiadłowania aktywności społecznej. Mówię o tym dlatego, by się zastanowić, co z doświadczeń przeszłości można przenieść do naszego życia pod koniec XX wieku.

ych rad narodowych, dopiero potem zostawali nimi nauczyciele. Nie mieliśmy kadry, ale był zapal i chęć. Kiedy zaproponowaliśmy profesorowi Szczanieckiemu utworzenie tak zwanego instytutu lubuskiego, wykipiał nas. Z kim robić ten instytut, skoro na Ziemi Lubuskiej było mniej magistrów niż dziś doktorów habilitowanych.

Z tamtych lat zapamiętałem, że kultura może rozwiązać wiele ważnych problemów społecznych. Ze partia i jej członkowie mogą w tym zakresie zrobić bardzo dużo. Ale żeby tak się stało, musi być dokładnie określone miejsce i rola partii w kształtowaniu kultury. Próby określenia tego miejsca podejmował się IX Zjazd, jak i Zjazd X, lecz nie rozstrzygnął do końca. Partia w kulturze znalazła się w niekorzystnym miejscu, zamiast wytyczać kierunki rozwoju kultury, lata dziury, naprawia błędy swoje i cudze.

J. SZACHOWICZ: — Nie zgadzam się z towarzyszem Piontkiem. W Zielonogórskim polityka partii doprowadziła do tego, że istnieją szkoły wyższe, środowiska twórcze, zawodowe instytucje artystyczne. Nawet wtedy, kiedy w innych województwach, szczególnie powstałych po roku 1975, próbowano umocnić kulturę, powołując a to teatry, a to orkiestry symfoniczne, a to namiastki środowisk artystycznych; myślimy się rozwijali. W tych trudnych latach ostatnich też rodzi się wiele nowych inicjatyw.

J. DOBOSZ: — Specyfikę polityki kulturalnej wojewódzkiej instancji partyjnej dostrzegam w umiejętności dostosowania kierunków rozwoju kultury i sztuki do warunków, jakie wtedy istniały na Ziemi Lubuskiej. Partia wykozystała siły społeczne, których aktywność została pobudzona po roku 1956. W całym kraju nastąpiły przemiany, zaczęło się rodzić nowe, demokratyczne życie społeczne. U nas miało to charakter i spontaniczny, i zaplanowany. Przede wszystkim partia nie ingerowała w program rodzących się wtedy środowisk literackiego, plastycznego, muzycznego. Nie ingerowała, nie znaczy to, że była obojętna, przeciwnie — stwarzała tym środowiskom korzystne warunki rozwoju. Ta specyfika wyrażała się i w tym, że Komitet Wojewódzki nie hamował inicjatyw społecznych, lecz je wspierał. Podobnie postępowały terenowe instancje partyjne, administracja państwowa, niektóre organizacje. Nie bez znaczenia był otwarty, przyjazny, nawet serdeczny stosunek członków władz partyjnych do społecznego zaplecza kultury. Lata sześćdziesiąte zapisały się złotymi zgłoskami w dziejach ruchu spo-

S. PIONTEK: — Próba przeniesienia do współczesności doświadczeń z lat minionych nie jest ani konieczna, ani też słuszną. Dzisiejsze wykształcone społeczeństwo jest już inne niż było w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, ma diametralnie inne potrzeby, żyje w innych warunkach, zapoznało się ze zdobyczami szerokiego świata. W latach sześćdziesiątych wydarzeniem dużej wagi było otwarcie klubu wiejskiego wyposażonego w radio i telewizor. Wydawało się nam, że budowa jeszcze jednego domu kultury, biblioteki, uruchomienie księgarni czy zmiłana krzesel w kinie prowadzi do rozwiązania najważniejszych problemów społecznych. Odpowiadało to potrzebom społeczeństwa, ale oczekiwania były ciągle duże, niewspółmierne do naszych możliwości. Pamiętam, że wszystko tworzyliśmy od podstaw. Kiedy zaczęły powstawać pierwsze towarzystwa społeczno-kulturalne, na ich prezesów wybieraliśmy najpierw pierwszych sekretarzy i przewodniczą-

Twórcy myśli zachodniej

WŁADYSŁAW GOMUŁKA

Stanisław Ciesielski

OKOLICZNOŚCI POWSTANIA PPR i założenia ideowo-polityczne, na jakich została oparta jej platforma programowa, stworzyły sprzyjające warunki nowatorskiego — w obrębie polskiego ruchu komunistycznego — potraktowania sprawy zachodnich granic Polski. Pełne sformułowanie koncepcji przesunięcia Polski na zachód nie było aktem jednorazowym, lecz skomplikowanym, wielorako uwarunkowanym procesem.

Ostatecznie w 1943 r. PPR opowiedziała się za odrzuceniem faktów dokonanych w procesie zaboru i germanizacji piastowskich ziem polskich, a w 1944 r. skonkretyzowała to w formie postulatów oparcia granicy na linii

Odry i Nysy Łużyckiej. Od 1943 r. poważną rolę w kształtowaniu koncepcji politycznych PPR odgrywał Władysław Gomułka. On nadał ostateczny kształt deklaracji programowej „O co walczyliśmy?” z listopada 1943 r., a także do-

kumentem zapowiadającym utworzenie Krajowej Rady Narodowej, on kierował partią od listopada 1943 r. do lipca 1948 r.

Hasło powrotu na ziemie zagrabione przez niemiecki ekspansjonizm wiązało się w myśli politycznej PPR z koncepcjami zasadniczej reorientacji polskiej polityki zagranicznej i przebudowy ustrojowej. Odzyskanie ziem nad Odrą, Nysą i Bałtykiem było elementem przebudowy terytorialnej państwa polskiego, ściśle związanym ze zmianą jego miejsca w strukturze stosunków między narodowych. Wśród czynników określających to miejsce bezwzględny priorytet miał sojusz z ZSRR.

Decyzje odnośnie granicy polsko-niemieckiej podjęte w Poczdamie Gomułka ocenił jako sukces Polski i uznał jej praw, przy czym zwracał uwagę na kluczowe znaczenie dla tego sukcesu

Ciąg dalszy na str. 4

Ciąg dalszy na str. 4

opinie i refleksje

GŁÓWNA PRZESZKODA

Mimo że w Reykjavíku Michał Gorbaczow wyraźnie oświadczył, iż główną przeszkodą na drodze radziecko-amerykańskiego porozumienia w sprawie rozbrojenia jest dążenie Waszyngtonu do militarystyki Kosmosu, czyli realizacji t.zw. Strategicznej Inicjatywy Obrony (SDI), która w rzeczywistości nie jest żadną inicjatywą obronną, a zapewnić ma Stanom Zjednoczonym możliwość ewentualnego zadania spod tzw. „parasola kosmicznego” pierwszego uderzenia nuklearnego (choć uczeni, w tym również najwybitniejsi spośród amerykańskich, przestrzegają, że nie ma takiego parasola, który uchronić może USA przed miążdżącym kontruderzeniem), obecna administracja amerykańska z uporem nadal lansuje i forsuje koncepcję zbrojeni kosmicznych czyli — jak to popularnie określa prasa światowa — tzw. „wojen gwiazdnych”.

Od początku bieżącego roku mnożą się oświadczenia ministra obrony USA Caspara Weinbergera i innych wysokich urzędników Pentagonu, aby decyzyjnie w sprawie ustanowienia „pierwszej sieci” SDI zapadła jeszcze przed upływem kadencji prezydenta Reagana, tj. przed końcem 1983 roku. Oświadczenia te pomyślane są jako swego rodzaju „balony próbne” w celu zbadania nastawienia Kongresu i opinii publicznej wobec tych zamiarów. Świadczą one również, że oredownicy SDI pragną poczynić kroki które późniejszym rządowi w znacznym stopniu utrudniłyby ew. wycofanie się z projektów SDI.

O prawdziwej ofensywie rozpoczętej w tej sprawie świadczy niedawne przemówienie Caspara Weinbergera w Colorado Springs, gdzie stwierdził on, że być może już w najbliższym czasie rząd Reagana podejmie decyzję o budowie pierwszego etapu systemu SDI i rozpocznie ją jeszcze przed początkiem lat 90-tych. Szef Pentagonu powiedział, że należą do nich: broń kinetyczna z bazami w Kosmosie oraz systemy przeciwrakietowe mające bazy na Ziemi. Nie negował on przy tym, że realizacja samej tylko pierwszej fazy SDI kosztowałaby miliony podatków amerykańskich około 100–120 miliardów dolarów. System ten miałby być następnym — w miarę rozwoju techniki — nadal i to wielokrotnie rozbudowywany.

Sieć telewizyjna ABC następująco skomentowała wspomniane przemówienie ministra obrony USA: „Weinberger uzyskał dla swoich też pełną aprobatę prezydenta. Oznacza to, że Biały Dom gotów jest rozpocząć kolejną wielką kampanię poparcia dla SDI”. I rzeczywiście, okazało się, że głos Weinbergera był tylko „his masters voice”, tj. głosem swojego pana. Właśnie w tych dniach prez. Reagan wystąpił do Kongresu z wnioskiem o zniesienie obowiązującego od ponad roku zakazu przeprowadzania prób z bronią antysatelitarną, a broń ta, jak wiadomo, ma być jednym z centralnych ogniw systemu SDI.

Dziennik WASHINGTON POST pisze, że w Departamencie Stanu USA dokonuje się obecnie nowej analizy wspomnianego układu z 1972 roku, aby znaleźć furtki prawne dla jego podważenia, gdyż uważany jest on za główną przeszkodę na drodze realizacji programu „wojen gwiazdnych”.

Aby przybliżyć realizację tego programu USA kontynuowały też przez cały czas próby nuklearne (przeprowadziły ich w okresie moratorium radzieckiego aż 24), gdyż eksperymenty te służyły właśnie konstrukcji różnego rodzaju zapalników nuklearnych dla urządzeń militarnych, mających być zainstalowanych w Kosmosie. A przecież większość poważnych uczonych amerykańskich twierdzi, że przyłączenie się przez USA do moratorium nie wyrządziłoby programowi SDI żadnych szkód i że niedawne pokazy broni laserowej były nie tyle eksperymentami badawczymi, ile widowiskami obliczonymi na poprawę działania kongresowej pompy pieniężnej. I rzeczywiście, z Kongresu udało się dotychczas już wyciągnąć na ten cel wiele miliardów dolarów. A do czegoż kieszoni one idą? Otóż firma „Business Communications Company” ocenia, że komercjonalizacja technologii SDI przyniesie już w niedługim czasie sektorowi prywatnemu dochody w wysokości ponad 20 miliardów dolarów. A więc znowu działania służące w ostatecznym rachunku osławionemu kompleksowi wojskowo-przemysłowemu. A gdzie interes i bezpieczeństwo ludzkości i samego narodu amerykańskiego?

MICHAŁ HOROWICZ

Magia uchwał

Rzeczywistość zaklinana przez ustawy, uchwały i rezolucje sama przez się nie ulega zmianie. Jest dokładnie taka sama, jak przed ustawą, uchwałą, rezolucją. A gdyby było inaczej, historia Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej miałaby charakter hagiograficzny, zaś przyszłość byłaby dniem dzisiejszym. Tymczasem jesteśmy równie dalecy od Arkadii, jak dalecy byliśmy trzydzieści, dwadzieścia, dziesięć lat temu. Odległość nie wynika z tego, że Arkadia się oddala, została złamano, że czas jaki nam dano, został złamano, energia wydatkowana jałowo. Po prostu ideał spełniony, przestaje być ideałem, jest rzeczą. Perspektywa doświadczenia, zegarka, nikogo nie podnieca, stymuluje tylko działania, zresztą rzadko, umysłowości infantylnych, a przecież wła-

nie ona, onegdaj była motorem działania.

Nasze dzisiejsze piekło wybrukowane jest słusznymi, nawet pięknymi ustawami, uchwałami i rezolucjami, będącymi świadectwem dobroci naszych intencji. W niektórych kręgach społecznych roś-

Z REGIONU

nie przeświadczenie, że wszechogarniająca nas formalizacja życia zabija chęć działania na rzecz poprawy jego jakości.

— Atestacja stanowisk i struktur, jako proces ciągły, ogarnąć powinna też przepisy regulujące działania Polaków. Zbyt mocna jest bowiem biurokracja, również ta myślowa, w nas samych tkwiąca, wypychająca w utarte schematy działań bezowocnych, by walka z nią okazała się skuteczna. Trzeba więc poznać ją oślon.

zaodra

Rozwój handlu zagranicznego

NRD utrzymuje stosunki handlowe i gospodarcze z ponad 100 krajami. Wysokość obrotu handlu zagranicznego uległa podwojeniu od 1976 roku. NRD bierze udział we wszelkiego rodzaju formach międzynarodowego podziału pracy i kooperacji. 2/3 obrotów handlu zagranicznego NRD przypada na kraje socjalistyczne, z tego 40 proc. na Związek Radziecki. Rozwój specjalizacji i kooperacji produkcji oraz wymiany towarów z krajami socjalistycznymi odbywa się w ramach koordynacji planów gospodarczych.

Ważną rolę w handlu zagranicznym NRD zajmuje handel z krajami rozwijającymi się. Jedynie w 1984 r. realizowano tu ponad 100 obiektów. Od roku 1953 NRD zbudowała w sumie ponad 500 kompleksów przemysłowych, m.in. największą cementownię w Etiopii. NRD wysyła do krajów rozwijających się także swych ekspertów oraz kształci dla tych krajów kadry naukowo-techniczne. Od roku 1970 ponad 60 tys. obywateli krajów rozwijających się zdobyło wykształcenie w NRD.

W dziedzinie handlu licencjami dobre wyniki osiąga się we współpracy z Japonią. Dotyczy to głównie takich dziedzin jak: elektrotechnika i elektronika, przemysł chemiczny. W ramach tej współpracy również Japonia zakupiła od NRD ponad 80 licencji.

Współpraca gospodarcza z Wietnamem

W Hanoi podpisany został protokół o koordynacji planów gospodarczych NRD i Wietnamu do roku 1990. Jak podkreślono, głównym elementem współpracy w okresie obecnej pięcioletki będzie rozszerzenie działań w kierunku intensyfikacji gospodarki narodowej obydwu krajów oraz podniesienie efektywności gospodarczej. Wskazano również na potrzebę znacznego zwiększenia wymiany towarowej między obydwojema krajami w stosunku do lat 1981-1985.

Wojskowe tradycje

W publicystyce NRD poświęca się ostatnio coraz więcej uwagi postępowej tradycji pruskiej. Po serii artykułów na temat Otto Bismarcka i Fryderyka II, historia państwa pruskiego stała się modnym tematem tutejszych środków masowego przekazu. Szczegółnie dogodną ku temu okazją są tegoroczne obchody 750-lecia Berlina. Przypominając niektóre wydarzenia z dziejów miasta nad Szprewą, prezentuje się nie tylko dorobek gospodarczy królestwa pruskiego, ale również cyfrowy ludzki zasługujący dla umacniania jego państwowości i siły militarnej. Kontynu-

nując ten temat — BERLINER ZEITUNG nawiązuje do wyzwolenia w 1813 r. Berlina spod okupacji francuskiej przez armię rosyjską oraz przedstawia genezę rosyjsko-pruskiego braterstwa broni. W kronikach miasta — pisze gazeta — zachowało się wiele wzruszających dowodów przyjaźni, która zimą tamtego roku zawiązała się między żołnierzami i oficerami rosyjskiej armii wyzwoliciel i ludnością Berlina. Jednym z licznych dowodów pamięci o żołnierzach, którzy przynieśli wolność miastu był tzw. Dom Kozaka przy Palisaderstrasse 2, zniszczony w czasie II wojny światowej. Na jego drzwiach wyrzyty był Kozak z lancą na koniu. Mieszkańcy Berlina niezwykle serdecznie witali oddziały zwycięskiej armii, traktując je jako zapowiedź całkowitego uwolnienia spod panowania napoleońskiego. Rozlokowanych w mieście żołnierzy obdarowano żywnością, oddano im odzież i obuwie. Nie możemy przecież odmawiać niczego — pisał w dawany w tym czasie patriotyczny miesięcznik „Das Neue Deutschland” — ludziom, którzy przysięgli tu, narażając swoje życie, aby uwolnić nas od obecnej przemoc. Natomiast wśród żołnierzy rosyjskich bardzo popularne było wówczas powiedzenie: „Rus — Prus — bracia”, a wielu z nich przypinało sobie do mundurów pruskie kokardy, symbol wzajemnej przyjaźni.

W tym kontekście BERLINER ZEITUNG przypomina sylwetki dwóch ówczesnych wybitnych pruskich generałów. Pierwszym z nich to Gerhard von Scharnhorst, pruski patriota i reformator. W armii pruskiej pełnił on wiele odpowiedzialnych funkcji — od dyrektora departamentu wojny, poprzez szefa sztabu, aż do przewodniczącego komisji reorganizacji wojska. Do historii Prus przeszedł jako twórca nowoczesnej armii opartej na powszechnej służbie wojskowej. W NRD pamięć o nim jest bardzo żywa. Na Unter den Linden, w samym centrum Berlina, znajduje się jego pomnik. Wyrazem uznania jego zasług jest też nazwanie jednego z najwyższych odznaczeń wojskowych NRD Orderem Scharnhorsta.

Drugim z kolei wodzem pruskim, który doczekał się także pełnej rehabilitacji w NRD, a którego nazwisko utożsamia się z postępową tradycją monarchii pruskiej jest — Niedhardt von Gneisenau — feldmarszałek Prus. Lenin — pisze BERLINER ZEITUNG — nazwał go jednym z najlepszych mężów pruskich. Nieznany wcześniej oficer wstąpił się odparciem wojsk napoleońskich spod Kołobrzegu, a następnie zasłynął jako jeden z współautorów zwycięskich bitew pod Lipskiem i Waterloo. Niedhardt von Gneisenau był ponadto wybitnym teoretykiem wojny. Z jego bogatego dorobku i doświadczenia korzystano przy reorganizacji armii pruskiej. W uznaniu swych zasług otrzymał tytuł hrabiego i feldmarszałka Prus.

AIDS

Reuter powołując się na źródła medyczne NRD podaje, że kraj ten poinformował Światową Organizację Zdrowia o pierwszym przypadku śmiertelnym AIDS. Ofiarą był chorujący na hemofilie 20-letni młodzieniec, który zmarł na początku grudnia ub. r. po tym, jak choroba starał się wyleczyć jego ojciec — lekarz.

Tak powiadają niektórzy. Spełnienie tego postulatów oznaczałoby utrzymanie fragmentów dekalogu, które odpowiadała duchowi świeckiego państwa, jakim Polska jest. Ze coś można zaczynać od samego początku, jest złudzeniem. Nawet największe rewolucje programujące nowe światy nie były w stanie odciąć się od korzeni tkwiących w negatywnej epoce. Nie oznacza to, że atestacja, rozumiana jako proces ciągły, powinna rezygnować ze stałego odkurzania kodeksów i przepisów wykonawczych, eliminowania tkanki martwej, przeszkadzającej postępowi.

Bicie czołem przed dziełem klasyków marksizmu, jego teologizacja spowodowały, że marksizm zbyt często przestaje być metodą analizy rzeczywistości i narzędziem jej przekształcania. Pożegnanie z dogmatyzmem odbywa się w bolesnych okolicznościach w między narodowym ruchu komunistycznym. Nie tylko w Związku Radzieckim, Chinach, Wietnamie, również na naszym gruncie. Tezy Biura Politycznego do dyskusji o podstawowych organizacjach partyjnych, przed czwartym plenarnym posiedzeniem Komitetu Centralnego, są w

istocie rzeczy zapytaniem adresowanym do najszerzszego rzesz partyjnych o najcięższe ognie w działalności całej partii. Jest to pytanie o charakterze kluczowym. Rzecz nawet nie w tym, że najsłabsze uchwały partyjne, nawet najwspanialsze nie przekształcają rzeczywistości, lub czynią to w sposób naskórkowy. Idzie o to, dlaczego organizacje partyjne w faktografii środowisk odgrywały rolę daleką od wyznaczników statutowych. Dlaczego wreszcie ich praca w najlepszych przypadkach odpowiada da jedynie kryterium dyscypliny formalnej? Odpowiedź, że organizacja partyjna jest przytłoczona przez parametry myślenia biurokratycznego, jest tylko częścią prawdy. Druga jej część tkwi w niedostatku wiedzy teoretycznej, nieumiejętności korzystania z marksizmu jako narzędzia, którym posługiwać się należy na co dzień. Tezy do dyskusji o podstawowych organizacjach są zapytaniem o to, jak partia sprawuje swoją kierowniczą rolę w obecnym etapie budowania socjalizmu, to znaczy tutaj i teraz.

RYSZARD ROWIŃSKI

Powyższe źródła poinformowały REUTERA, że u 12 obywateli NRD stwierdzono wirus AIDS, jednakże do tej pory nie było informacji o dalszych osobach, które by chorowały na tę chorobę. NRD prowadzi dyskretną kampanię ulotkową, przestrzegając mężczyzn — homoseksualistów i chorych na hemofilę przed możliwością zachorowania na AIDS. Przypuszcza się, że ogromne niebezpieczeństwo stanowią zachodni Niemcy homoseksualiści, którzy tłumnie odwiedzają „schadzkowe” bary w Berlinie — stolicy NRD.

(x)

Zbrodnie nazistowskie nadal bezkarne

Na łamach zachodniemieckiego BUNDESANZEIGER opublikowany został dokument zatytułowany: „Bilans ściegania przestępstw nazistowskich”. Materiał sporządzony został przez radcę ministerialnego Albrechta Goetza przy udziale Federalnego Ministerstwa Sprawiedliwości. Zawiera on niewątpliwie dane obiektywne i rzeczywiste, a więc tym bardziej potwierdzają one tezę, iż w RFN od początku jej istnienia, aż po dzień dzisiejszy nie prowadzono i nie prowadzi się efektywnego ścigania zbrodniarzy wojennych, a ołbrzymia ich większość pozostaje bezkarna.

I tak, od zakończenia wojny do 1 października 1986 prokuratury RFN prowadziły dochodzenia przeciwko 90.921 oskarżonym o zbrodnie nazistowskie. Z tego za ledwie 6.497 oskarżonych skazanych zostało prawomocnymi wyrokami, z tego tylko 12 największych zbrodniarzy na karę śmierci, 160 na karę dożywotniego więzienia, a 6.192 na karę pozbawienia wolności. Innych skazano na karę grzywny. 83.140 w ogóle nie zostało ukaranych.

Typowe dla większości procesów nazistowskich jest to, że oskarżeni nie negują popełnionych przez siebie czynów lecz powołują się jedynie na rozkazy służbowe. Tymczasem już w 1953 roku sąd krajowy w Berlinie orzekł, że ślepe posłuszeństwo nie może być usprawiedliwieniem dla popełnienia zbrodniczych czynów. Wg Goetza odmowa wykonania rozkazu (jeśli takie się sporadycznie zdarzały np. w Jugosławii, czy w Grecji) nigdy nie doprowadziła do rozstrzelania odmawiających.

Bundestag wprowadził w 1979 r. morderstwo i ludobójstwo za nie podlegające przedawnieniu, ale dziś w RFN toczą się już tylko nieliczne procesy przeciwko zbrodniarzom wojennym, podczas gdy dziesiątki tysięcy tych przestępców pozostają nadal całkowicie bezkarne.

(h)

Pisarstwo jest „sztuką bez chleba”

Twórczość literacka, jak twierdził kołomyjski pisarz, nie zapewnia dochodów wystarczających na utrzymanie rodziny. Z przeprowadzonej przez Instytut Badań Socjologicznych w RFN ankiety wynika, że 3/4 spośród 149 literatów żyjących i tworzących w Kolonii uważa, iż mniej niż 50 proc. ich miesięcznego dochodu pochodzi z pisania; wielu uważa za nawet, że mniej niż 10 proc. Głównym źródłem ich dochodów są tzw. chaitury, praca w kolońskim radiu itp. Połowa ankietowanych pisarzy podała, że ich miesięczny dochód wynosi nieco powyżej 2000 DM.

(x)

załaba

Wzrost eksportu

Republika Federalna w ub. roku na skutek spadku wartości dolara w stosunku do marki niemieckiej zepchnęła Stany Zjednoczone z ich czołowej pozycji jako najważniejszego eksportera na świecie. Informacje te podano w opublikowanym obecnie raporcie GATT o handlu międzynarodowym w latach 1985 i 1986. W ciągu pierwszych dziesięciu miesięcy 1986 r. ogólna suma eksportu Republiki Federalnej wyniosła 200 mld. dol. w porównaniu ze 180 mld. dol. eksportu Stanów Zjednoczonych. Podczas gdy eksport zachodniemiecki, liczony w dolarach, wykazał przyrost o 34,5 proc., to eksport amerykański — tylko o jeden proc.

To znaczne przesunięcie i wyprzedzenie Stanów Zjednoczonych przez Republikę Federalną wynika przede wszystkim z wahań kursu dolara. Eksport RFN wyrażony w markach niemieckich w ciągu pierwszych dziesięciu miesięcy ubr. wyniósł bowiem 439,5 mld. DM, co w porównaniu z rokiem 1985 oznacza pewien niewielki regres (447,9 mld. DM). Co się dotyczy całego handlu (eksportu i importu), to pierwsze miejsce nadal zajmują Stany Zjednoczone (600 mld. dol.), a Republika Federalna — drugie (430 mld. dol.). W hierarchii krajów o największym eksporcie w przeliczeniu na jednego mieszkańca pierwsze miejsce zajmują Zjednoczone Emiraty Arabskie; za nimi plasują się Singapur, Hongkong, Kuwejt i Belgia wraz z Luksemburgiem. Republika Federalna zajmuje tu dwunaste miejsce.

Pod względem importu na pierwszym miejscu na świecie nadal znajdują się Stany Zjednoczone, przy czym zwiększyły one swój udział w wwozie o 4,9 proc. do 17,3 proc. Drugie miejsce również w dalszym ciągu zajmuje Republika Federalna, której udział w światowym imporcie zmalał jednak o 1,2 proc. do 7,9 proc. Trzecie miejsce należy do Japonii (6,4 proc. bez zmian).

(x)

Łodzie podwodne dla RPA

Według dziennika KIELER NACHRICHTEN wśród planów konstrukcyjnych okrętów podwodnych, sprzedanych RPA przez kilofską stocznice Howaldtswerke (Deutsche Werft) HDW, znajdowały się również projekty objęte tajemnicą wojskową. Pretoria otrzyma

Ulica Wiejska w Zielonej Górze to skansen składający się z dwóch ruder z przyległościami, otoczony dziesięciopiętrowymi budynkami. Skansen jest zamieszkały przez ludzi, którzy od lat czekają na lepsze jutro.

Wiejska 3. Poddasze. Z korytarza wchodzi się do kuchni, potem do pokoju przedzielonego meblami. W kuchni rzuca się w oczy piec węglowy, a na nim duży kocioł z wodą. Pokój z kuchnią przy obecnych trudnościach mieszkaniowych może być traktowany jako dobrodziejstwo dla młodego małżeństwa z dwójką dzieci. Mieszkanie nazywane jest zastępczym z całą konsekwencją tego określenia. Osiem lat temu wybuchł tu

pożar. Pomieszczenia wyremontowano i oddano do użytku, jako mieszkanie zastępcze, rodzinie P. Ubikacja znajduje się na parterze. Kilka lat temu było to drewniane latryny. Ktoś wreszcie zlitował się nad lokatorami z Wiejskiej i postawiono mury wygódki z muszlami. Stało się to wkrótce po tym, jak córka sąsiadów o mało nie wpadła do szamba, gdy zarwała się pod nią podłoga z przegniłych desek.

Spółdzielczej stajni Augiasza ciąg dalszy

NUMER 339 PROTESTUJE

Piotr Piotrowski

Zeszłej zimy zamrożona woda rozzerwała muszlę. ABM obiecała nową w trzecim kwartale. Nie było wyjścia. Janusz P. obmurował deficytowe cacko i taka prowizorka jakoś przetrwała nawet surowe mrozy tej zimy.

Prowizorka ich otacza. O tymczasowości słyszą w ABM-ie, kiedy proszą o farbę do malowania ścian i poręczy na klatce schodowej, gdy skarżą się na wadliwą instalację elektryczną i kanalizację, przeciekający dach i trzęsące się ściany.

Horror

Półtora roku temu nad miastem szalała wichura. Drżały ściany budynku. Okna sprawiały wrażenie, że za chwilę wypadną. Ze strachu, czy tknięta przecuciem kobieta wyjęła z łóżeczka półtoraroczną Kasię. W kilka sekund później od sufitu oderwała się drewniana belka i zdzierając tynk ze ściany spadła na łóżeczko, w miejsce gdzie przed chwilą stała Kasia. Jolanta P. uciekła z córkami do kuchni. Miała tylko jedno pragnienie — uciekać z tego upiornego domu. W tym momencie zadrżał piec w kuchni, pod kotłem z wrzącą wodą zarwała się płyta. Woda chlusnęła na podłogę i do paleniska. Syk gasnącego ognia, kłęby pary i pyłu unoszące się w kuchni sprawiały piekielne wrażenie.

Zniecierpliwienie

Janusz P. od 1974 roku jest członkiem Zielonogórskiej Spółdzielni Mieszkaniowej. Od początku z pełnym wkładem. Czekają trzynastę lat na mieszkanie. Niedługo będą obchodzili czterdziestą rocznicę. Jest to w Zielonej Górze maksymalny czas oczekiwania. W spółdzielni zarejestrowani są pod numerem 339.

— Mamy nawet kilkadziesiąt tysięcy nadpłaty — mówi Janusz P. — usłyszałem kiedyś w telewizji, że spółdzielnie mają za mało pieniędzy, to wpłaciłem. Może i czekalibyśmy cierpliwie na swoją kolej, ale jeśli widzę, że ludzie otrzymują mieszkania po trzech

Występowali do spółdzielni o wpisanie na listę przyspieszeń. Aby przyspieszenie przydziału mogło dojść do skutku, należało spełnić określone warunki. Do argumentów należała oddzielnia, lub wszystkie razem: ciężka choroba, przeżycie w mieszkaniu (mniej niż 5 metrów kwadratowych na osobę), lub należy posiadać szczególnie złe warunki mieszkaniowe. Przy tym ostatni argument sprzyja najprzeróżniejszym interpretacjom.

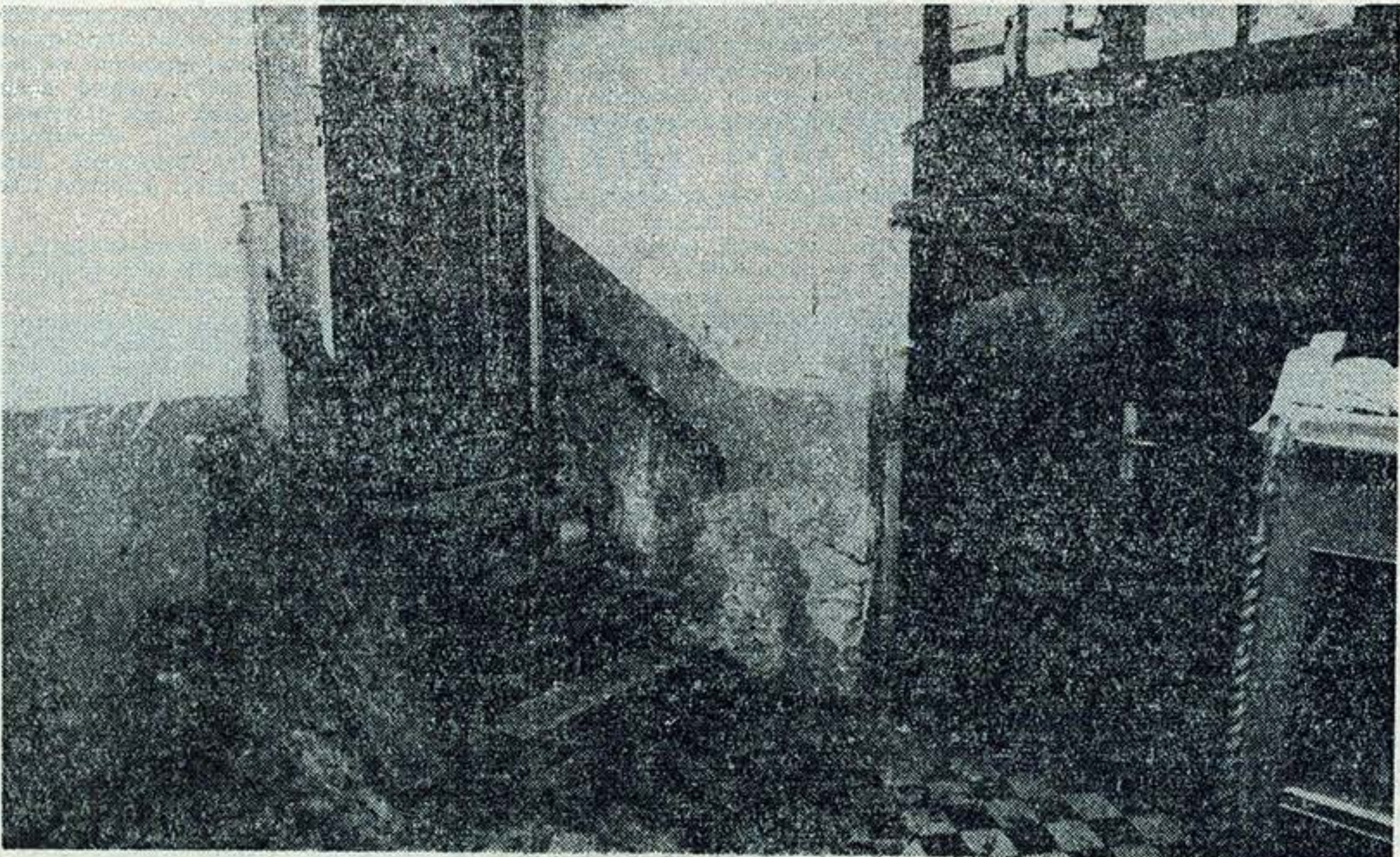
W ich domu nikt ciężko nie choruje. Jedynie Janusz P. cierpi od trzynastu lat na chorobę wrzodową (w trakcie rozmowy, podenerwowany ponownym roztrząsaniem sprawy musi zażyć tabletki). Kasia ma wadę serca. Mieszkanie jest przegęszczone — posiadają o metr kwadratowy więcej, niż przewiduje norma 5 metrów na osobę. Ogólnie czują się dobrze, nauczyli się regulować

swoje potrzeby fizjologiczne tak, aby w jak najmniejszym stopniu korzystać z domowej ubikacji.

Z gaśnicą w pogotowiu

Pokazując pokój, w którym przyszło spędzić im osiem lat. Zsunięte tapczany, na których śpią dziewczynki — tak jest ciepło. Powierzchnia słomianej maty wiszącej na ścianie jest od wewnętrznej strony oblodzona. Oglądam zarysowania na ścianie i miejsce, w którym tkwiła drewniana belka. Wcześniej próbowali usunąć ją, bo szpeciła i tak już wystarczająco ponure pomieszczenie.

nie; tkwiła zbyt mocno. Belka przypominała o sobie owego upiornego dnia. Pytam o dziwny sprzęt stojący w kącie pokoju, za niski na ławę, za wysoki na tapczan; coś pieczołowicie opatulonego



Fot. KRZYSZTOF MEZYNSKI

kocami. Okazuje się, że to meble do nowego mieszkania. Na ścianach zacieki i grzyb. Wszelkie próby doprowadzenia tych ścian do odpowiedniego wyglądu dają efekt zerowy. Gospodarz demonstruje wytrzymałość podłogi: robi kilka przysiadów. Zaczynają drżeć meble, wyczuwam silne drżenie podłogi.

— Lekarze, ze względu na wrzody, zalecają systematyczną gimnastykę — mówi Janusz P. — ale jak w takich warunkach ćwiczyć? Zaraz przybiega sąsiadka z dołu i mówi: „Ludzie, dajcie pomieszkować w spokoju!”.

Z pokoju jest wyjście do niewielkiego pomieszczenia służącego za podreczny składzik. Tu już odczuwa się zewnętrzna temperatura; na ścianach śnieg i lód; za cienkimi ścianami oddzielającymi komórkę od pokoju panuje zimowa aura.

Wracamy do kuchni. Tu toczy się gros domowego życia. Pokój w zasadzie spełnia rolę sypialni. Rano pani domu wstaje pierwsza i rozpala w kuchennym piecu, obok którego zawsze gotowa do użycia stoi gaśnica (po poprzednim pożarze nigdy nie wiadomo). Dość często z powodu niedostatecznych przydziałów węgla palą starymi oponami. Poprzedni lokator paląc oponami wywołał pożar.

Jeśli przed szóstą rano jest względnie ciepło, dzieci ubierają się pod kołdry. Czasem pani Jola nie obudzi się na czas i nie zdąży rozpałić w piecu, wtedy dzieci ubierane są w pokoju w płaszcz i dosłownie umykają z tej poczekalni na lepsze czasy. Ona niechętnie wraca z pracy do domu, dzieci o wiele lepiej czują się w przedszkolu.

Zimą na poddaszu jest zimno, a latem żar z rozgrzanego pieca jest nie do wytrzymania. Przygotowanie prostego posiłku na tym prymitywnym piecu w głośnym zabiera kilka godzin czasu, czasu nie poświęconego dzieciom, innym zajęciom domowym, czy chwili wytchnienia nad książką lub przed telewizorem.

Jolanta P. o rok wcześniej zrezygnowała z urlopu wychowawczego, choć sytuacja materialna nie zmuszała jej do tego. Dziecko lepiej było w żłobku, a jej w pracy. Poza tym, koronnym argumentem takiej decyzji była chęć zaoszczędzenia węgla. Janusz P. wybiegał już wiele ścieżek po najważniejszych instytucjach miasta, zebrał o dodatku przydziału kilkadziesiąt kilogramów czarnego złota.

Ich(?) nowa spółdzielnia

Jednym z istotnych postanowień podjętych w 1983 roku w czasie organizowania SM „Kisielin” było to, że podział mieszkań na potrzeby członków i kandydatów będzie zaspokojony w spo

sób zapewniający jednolity okres oczekiwania na mieszkania w spółdzielni. Innym, że w danym roku powinni otrzymać mieszkanie w spółdzielni członkowie z tego samego roku zgromadzenia wkładów.

Rodzina P., zgłaszając swój akces do nowej spółdzielni, uwierzyła w tę zapisaną zasadę. Ale w praktyce stało się inaczej, niż obiecywano. Znalazło się sześćdziesięciu „spadochroniarzy”, którzy z dnia na dzień zostali członkami spółdzielni „Kisielin”, a po 2—3 latach otrzymali mieszkania. Zyczeniem Janusza P. jest, aby któraś z tych osób choć rok przemieszkała na jego poddaszu.

Statut SM „Kisielin” jest tak sformułowany, że sprzyja interesom zarządu spółdzielni, a nie jej członkom. W ten sposób powstała paradoksalna sytuacja, choć już w naszym kraju najmniej do powiedzenia w sprawach swojej spółdzielni. Z relacji członków wynika, że na spółdzielczych zebraniach najbezpieczniej jest cicho siedzieć.

Prezes Spółdzielni „Kisielin” powiedział państwu P., że nie ma im już nic więcej do przekazania.

Pukając do wszystkich drzwi

Janusz P. napisał list do Ministra Sprawiedliwości. Na pięciu stronach pa



Sabotażysty?

(List publikujemy w fragmentach)
W związku z artykułem zamieszczonym w Waszym dwutygodniku nr 26 z dnia 29 grudnia 1986 r. nt. Sabotażysty? przez redaktora Edwarda Nowakowskiego, Zarząd tut. Spółdzielni w porozumieniu z Komisją Rewizyjną wyjaśnia, co następuje:

Zarząd Spółdzielni w porozumieniu z Komisją Rewizyjną postara się usunkować do niektórych nieobiektywnych i tendencyjnych sformułowań zawartych w tym artykule.

1) Średnie plony zbóż w latach 1983—85 wyniosły w Spółdzielni 25,7 q z 1 ha (tj. powyżej średniej plonów w gminie) na glebach w 100 proc. kl. V i VI, co daje z hektara przeliczeniowego blisko 39 q. Natomiast w roku 1986 wskutek niekorzystnych warunków atmosferycznych (deszcze w okresie kwitnienia żyta i późniejszej wymoknięcia, czego dowodem są protokoły szacunku strat PZU) zbiory zbóż w tym przede wszystkim żyta uległy obniżeniu. Podobnie przedstawiała się sprawa plonów ziemniaków. Spółdzielcy zdają sobie doskonale sprawę, że zbiory w br. były niezadowalające... ale jednak wyższe od średnich osiągniętych przez rolników indywidualnych w rejonie działania Spółdzielni. Na tym też rodzą się pytania, które zostawiamy bez odpowiedzi:

— jak byli spółdzielcy mogli uzasadniać składane wypowiedzenia bardzo niskimi plonami zbóż i okopowych w 1986 r. przed ich zbiorami?

— jak można dyskredytować działalność Spółdzielni na odcinku produkcji roślinnej, na podstawie jednego niekorzystnego roku?

2. Z początkiem roku 1984 w związku z podjętą uchwałą Walnego Zgromadzenia o uruchomieniu zakładu wyprawy skór futerkowych, zmieniła się koncepcja wprowadzenia dodatkowej w nie wielkim zakresie hodowli owiec. Hodowla ta miała na celu zagospodarowanie dotychczas niewykorzystanych pasz gospodarczych w postaci zielonki i siana z posiadanych użytków zielonych oraz słomy zbóż jarych i lubinianek a także pozyskanie w przyszłości własnych skór. W 1984 r. tytułem próby zakupiono 15 sztuk matek a w grudniu 1985 za pośrednictwem POZH partię dalszych 100 matek, z których ca. 50 proc. okazała się kotna ku zaskoczeniu spółdzielców. W ten sposób stado powiększyło się w okresie miesięcy lutego — kwietnia 1986 bez możliwości kontroli urodzeń o 50 jagniąt. Niezależnie od powyższego w okresie tychże wykotów pojawiła się choroba zakaźna w postaci niesztowicy, co na pewno odbiło się na kondycji posiadanych stad. Okres ten zbliżył się z kłopotami kadrowymi dot. obsługi zwierząt. Po wypowiedzeniu członkowską przez osobę dotychczas obsługi gąsienic inwentarza, Zarząd do czasu znalezienia odpowiedniej obsługi powierzył obowiązki jednemu ze spółdzielców. Osoba ta nie podobała tak trudnym obowiązkom zaniechanie obsługi inwentarza. Czynione próby ze strony Zarządu, Komisji Rewizyjnej jak i Spółdzielców mającej na celu poprawę jakości obsługi nie dały pożądanego efektu. W konsekwencji czego osoba zrezygnowała pod naciskiem części spółdzielców z pracy w Spółdzielni. Należenie się wszystkich tych kłopotów i trudności doprowadziło w końcu do upadku jagniąt. I tu również nasuwa się pytanie: jaką logikę mieli byli członkowie krytykujący złą obsługę inwentarza broniąc jednocześnie na łamach artykułu człowieka, który nie wykazywał się ze swoich obowiązków w tym zakresie?

Mimo wspomnianych przyczyn zdaje mi sobie sprawę, że nie tłumaczy to w zupełności takiego stanu rzeczy i nie usprawiedliwia ludzi bezpośrednio odpowiedzialnych za produkcję podstawa, w tym również i Ob. Tadeusza Siniawskiego jako z-cy kierownika produkcji podstawowej (mechanizator). Je dnoznacznie zaznacza się, że wskutek nienajlepszych wyników w hodowli owiec spółdzielcy postanowili nie rozwijać tego kierunku produkcji, zwiększając jednocześnie tucz trzody chlewnej w cyklu zamkniętym.

3. Niezrozumiałym dla spółdzielców jest sprawa poruszona w artykule dotycząca świadczeń usług rolniczo-transportowych oraz działalności grupy odgromowo-pomiarowej co jest czymś niezgodnie z prawem spółdzielczym i przyjętym statutem spółdzielni. Informuje się, że usługi rolniczo-transportowe są wykonywane w zdecydowanej większości na rzecz rolników i środowiska w postaci remontu i budowy dróg wiejskich... Udział działalności po zarolniczej w stosunku do podstawowej stanowi 30 proc. ogólnego przeobrażenia Spółdzielni, co jest zgodne z uchwałami władz centralnych. Dochód z tej działalności jest przeznaczany w całości na rozwój Spółdzielni.

4. Zarząd nie może także zgodzić się z zarzutami zawartymi w artykule odnośnie całkowitego braku warunków socjalnych, ponieważ przeprowadzane kontrole zewnętrzne w tym „Sanepidu”

Ciąg dalszy na str. 9

PIOTR PIOTROWSKI

su polityki prowadzonej przez lewicę polską, polityki ścisłej współpracy ze Związkiem Radzieckim. Jako zasadniczą kwestię stawiał utrwalenie nowych granic przez repolonizację i zagospodarowanie odzyskanych terenów. Zarazem duże znaczenie przywiązywał do ugruntowania w świadomości społeczeństwa przekonania o ostatecznym i nieodwracalnym ustaleniu granic, widząc w tym istotną przesłankę normalizacji życia nie tylko na ziemiach zachodnich, ale w całym kraju.

panujących tam stosunków, odczuć powikłań. Jako metodę rozwiązania tych zagadnień przyjął postępowanie weryfikacyjne. Sam Gomułka opowiadał się za weryfikacją możliwie szeroko, opartą na przekonaniu, iż sprawdzianem przynależności narodowej jest całokształt zachowań jednostki, a nie jeden tak czy inaczej wyodrębniony czynnik. Taką też politykę deklarowało kierowane przez Gomułkę Ministerstwo Ziemi Odzyskanych. Jego zarządzenia wprowadzały stosunkowo szeroki katalog faktów uprawniających do ubiegania się o uzyskanie potwierdzenia polskości. Nakładały jednak na ludność rodzimą obowiązek dowodzenia jej polskości i wiary z narodem,

o noliceniu struktur administracyjnych, a w tym kontekście krytycznie odniósł się do przedłużania działalności różnych rodzajów pełnomocników, postulując wprowadzenie tam takich samych rozwiązań, jakie funkcjonowały już na pozostałych obszarach. Za szcze gólnie ważne zadanie uznawał też do prowadzenie do bujnego rozwoju polskiego życia kulturalnego na ziemiach nowych, do ukształtowania tam możli wie gęstej sieci placówek kulturalnych. „Bez żywego tętna życia kulturalnego, które obejmie całą ludność tych ziem, proces zespalania ich z resztą ziem polskich będzie się opóźniał. — mówił. — Można nawet powiedzieć, że tempo rozwoju tego procesu jest ściśle uzależ nione od tempa rozwoju kulturalnego”.

Traktując zagospodarowanie i repolo nizację ziem zachodnich i północnych jako pierwszoplanowe zadanie pań stwa, Gomułka daleki był od przypisywania państwu roli jednego czyn nika jego realizacji. Postulował uczyni enie z tego ruchu ogólnospołecznego. Za niezbędny warunek realizacji całej koncepcji przesunięcia Polski na zachód uważał pewien consensus narodowy. Zarazem objęcie i zagospodarowanie ziem zachodnich, pracę na nich i dla nich traktował jako płaszczyznę budo wy jednostki narodowej wokół władzy ludowej, a tym samym jako przesłankę umacniania tej władzy i tworzenia jej społecznego prestiżu. Mocno akcen tując patriotyczny charakter pracy na rzecz ziem zachodnich, widział w niej również najlepszą odpowiedź na wszel kie próby podważania granicy na Odrze i Nysie.

Problematyka zachodnia była w dru giej połowie lat czterdziestych płasz czyną ostrej walki politycznej. Jej zna czenie w tym zakresie wypływało z wagi, jaką ziemię tę posiadali dla pań stwa i narodu oraz ze społecznego za angażowania w tę problematykę. Waż nym składnikiem tej walki był spór o źródła powrotu na ziemię zachodnie. Obóz kierowany przez PPR przedsta wiany był przez Gomułkę jako jedyny twórca i jedyny gwarant nowych granic na zachodzie. Uzasadnianie było to za równo programem reform wewnętrz nych, jak i orientacją międzynarodową tego obozu. Sekretarz generalny PPR tworzył też swoiste funkcje mię dzy poparciem granicy na Odrze i Ny sie i postawą patriotyczną w tym się przejawiającą, a poparciem obozu le wicy. Wyprowadzał stąd tezę, że każ dy, kto przeciwstawiał się władzy ludo wej, ten godził w bezpieczeństwo pań stwa i trwałość jego granicy zachod niej, stając obiektywnie na pozycjiach antynarodowych. Odzyskanie ziem zachodnich i północnych oraz notowane tam osiągnięcia społeczno-ekonomiczne traktowane były przez Gomułkę jako legitymacja obozu lewicy do posiadania władzy i zarazem jako dowód, iż obóz ten zdolny był do właściwego roz poznawania interesu narodowego.

Sprawa granicy zachodniej posłużyła także do formułowania negatywnych ocen Polskiego Stronnictwa Ludowego i dyskredytacji jego orientacji między narodowej. Gomułka wykazywał wielo krotnie, że polityka PSL i Stanisława Mikołajczyka obiektywnie godziła w polski interes narodowy.

Okres do 1948 r. stanowił pewną zam kniętą całość w procesie kształtowania się myśli politycznej Władysława Gomułki, w tym również tego jej fra gmentu, który można nazwać myślą zachodnią. Ten zespół poglądów wiązał się nie tylko z wizją ustrojową i teryto rialną Polski, ale również z koncepcją miejsca polskiego państwa na politycz nej mapie Europy i ze stosunkiem do problemu niemieckiego. W tym okresie ukształtował się pewien zrab poglądów Gomułki na te kwestie, który później — w drugim okresie jego publicznej ak tywności — zasadniczo wpływał na treść jego koncepcji politycznych, mimo dość zasadniczej zmiany warunków wewnętrznych i zewnętrznych. Zagad nieniem kluczowym pozostawało dlań nadal bezpieczeństwo Polski i jej granicy zachodniej, ujmowane niezmiennie w kontekście bezpieczeństwa i poko ju w Europie. Głośno stało się stwier dzenie polskiego przywódcy, iż nie ma problemu granic — jest tylko problem pokoju. Rozumiał to jako stwierdzenie niepodważalności i nienaruszalności pol skiej granicy zachodniej i jako uznanie tego faktu za jedną z najistotniej szych przesłanek umacniania ładu po kojowego w Europie i w świecie. W dużej mierze decydowało to o jego stosunku do problemu niemieckiego i do stosunków polsko-niemieckich, wy znaczało jego konsekwentną politykę wobec zagadnienia normalizacji stosu ków z Republiką Federalną Niemiec. Doceniał też całokształt problemów związanych ze swoistością procesów za chodzących na ziemiach zachodnich i północnych, żywo interesował się tymi zagadnieniami i popierał społeczne przedsięwzięcia podejmowane w zwią zku z tymi problemami, szczególnie w ramach i pod auspicjami Towarzystwa Rozwoju Ziemi Zachodnich, którego powstanie stało się możliwe dopiero po powrocie Gomułki na arenę polityczną. Swoistą tragedią tego przywódcy stało się odejście z tej areny w momencie, gdy jeden z jego priorytetowych celów politycznych został urzeczywistniony poprzez podpisanie układu o normali zacji stosunków między Polską a RFN

obowiązek deklarowania swej wierności Polsce, co wielokrotnie kłóciło się z odczuciami i oczekiwaniami zaintereso wanych, sądzących, iż własnym życiem dowiedli kim są. Szczególnie gdy to warzyły temu fakty dyskryminacji autochtonów przez administrację pań stwową i grupy osadnicze, rodziło to szkodliwe napięcia i rozczarowania. Tróską kierownictwa MZO było niedo puszczenie do eliminacji ze społeczeń stwa polskiego osób, które obiektyw nie powinny się w jego obrębie znaleźć. Poufny okólnik ministerstwa z 20 mar ca 1946 r. stwierdzał, że wysiedlenie „chociażby jednej osoby narodowości polskiej tylko dlatego, że dotąd nie uzyskała stwierdzenia o trybie admi nistracyjnym, swej przynależności do narodu polskiego stałoby w jaskrawej sprzeczności z dobrze rozumianą polską racją stanu”. Wolę realizacji takiej właśnie zasady potwierdził Gomułka na Zjeździe Autochtonów 9 listopada 1946 r. W praktyce jednak liczne były wypadki postępowania lokalnych władz odbiegające od tej dyrektywy, a w każdym razie nie sprzyjające pełnej jej realizacji.

Kwestią o ogromnej doniosłości w koncepcjach Gomułki była rola przypis ywana Ziemiom Odzyskanym w prze mianach społeczno-ekonomicznych, jak ie w Polsce realizowano i zamierzano realizować. W objęciu ziem zachod nych z ich potencjałem przemysłowym widział przywódca PPR szansę prze kształcenia Polski w kraj przemysłowo rolniczy, w państwo silnie ekonomicz nie. Zarazem przejęcie przez państwo całej własności ponemieckiej przynieść miało zasadniczą zmianę w całej struk turze własności, to nie tylko w wy miarze regionalnym, ale ogólnopolskim. Państwo w rezultacie wyzwolenia ziem zachodnich i północnych stało się fak tycznie dysponentem ogromnej części ziemi, co stwarzało stosunkowo duże możliwości przebudowy ich agrarnej struktury. Zgodnie z ogólnymi zało żeniami partii, Gomułka opowiadał się za utrwaleniem w skali całego kraju średniorolnych gospodarstw chłopskich jako podstawowego elementu polskiej struktury agrarnej. Zasada ta miała być rozciągnięta także na ziemię zachod nie i północne, choć przewidywano u tworzenie tam silniejszego, niż na zie miach dawnych państwowego sektora w rolnictwie. Z tych przesłanek wy nikały treści odpowiedzialnych rozporządzeń MZO, utrwalonych następnie dekre tem o osadnictwie rolnym z 6 września 1946 r.

Upodobnienie modelu gospodarczego Ziemi Odzyskanych do modelu ziem dawnych, traktowane jako przesłanka ich integracji, oznaczało także rezygnację przez państwo z monopolistycz nej pozycji państwa w obszarze własności pozarolniczej. Na forum KRN Gomułka zapowiadał w związku z tym, że intencją władz będzie „wszechstron ne popieranie każdej zdrowej inicjaty wy spółdzielczej i prywatnej, zwłaszcza wytwórczo-przemysłowej, na odcinku wytwórczym od objęcia przez pań stwo”. Zaś w liście do uczestników Zjazdu Ziemi Odzyskanych w sierpniu 1946 r. pisał: „Nadszedł czas, aby roz począć drugą fazę naszej pracy na Ziemiach Odzyskanych, co ma się wyrazić uregulowaniem stosunków własnościowych i przyznaniem tytułów własności dotychczasowym użytkownikom ponie mieckich obiektów gospodarczych. Roz wiązan tego problemu posiada olbrzymie znaczenie dla wzmocnienia tempa za gospodarowania Ziemi Odzyskanych i pełnego przywrócenia ich polskości... Pod swoim zarządem państwo zatrzyma tylko te obiekty gospodarcze, które przejęło na podstawie ustaw... Inaczej mówiąc na Ziemiach Odzyskanych zaprowadzimy takie same stosunki własnościowe, jakie istnieją na pozostałym terytorium państwa polskiego”. Na przyjęcie takiej koncepcji składały się z jednej strony pryncypia doktrynalne i orientacja na budowę socjalistycznej struktury społeczno-ekonomicz nej, a z drugiej — realizm i pragmatyzm gospodarczy, liczący się z możli wościami i predyspozycjami gospodar czymi państwa.

Ważny czynnik integracji ziem zachodnich i północnych z dawnymi wi dział Gomułka także w szybkim ujed-

leczno - kulturalnego, o czym niedawno przypomniano w Żarach podczas inau guracji obchodów trzydziestolecia Lu buskiego Towarzystwa Kultury. Działacze LTK upowszechnili hasło „Ziemia Lubuska piękna, gospodarna i kultura lną” utworzyli czasopismo „Nadodr ze”, wsparli środowiska twórcze i powstałe z ich inicjatywy imprezy o zasięgu krajowym.

Politykę kulturalną partii określają, determinują warunki, w jakich się ona realizuje. Ale i bardzo istotny jest cel,

myślność partii i narodu, więc zastana wiamy się też, czy partia umie odpowie dzieć na wszystkie oczekiwania i pragnienia narodu? Każdy u nas przełom charakteryzował się zwiększonym zapo trzebowaniem na zdemokratyzowanie życia społecznego.

Nie chciałbym być źle zrozumiany, ale na podstawie obserwacji twierdzą, że w instancjach partyjnych zaczyna brakować takich ludzi, którzy mogą po ciągnąć społeczeństwo lubuskie do no wych, wyższych działań w kulturze. Nie wierzę, by społeczeństwo obecne przero sło wymaganiami możliwości partii, a partia nie mogła wyjąć im naprzeciw. Nasze społeczeństwo jest normalne, ople ra się na zdobycach nauki, techniki i

Czy dziś mniej patriotów lokalnych?

zbieżny dla wszystkich, jasny, zrozumia ly, akceptowany. Cechą obecnej polityki kulturalnej naszej partii musi być jej otwartość na wszelkie inicjatywy spo łeczne, umiejętność godzenia interesów partyjnych twórców i bezpartyjnych, wybitnych i zwyczajnych, uznanych i debiutujących. Żeby to zadanie wyko nać, trzeba być w środowisku pisarzy, plastyków, aktorów, muzyków, architek tów, działaczy kultury, umieć z nimi rozmawiać, doradzać, lecz i wymagać aktywności społecznej, artystycznej. Bez wspierania tej aktywności, partia niewiele zdziała, straci autorytet i swo je miejsce.

S. PIONTEK: — Nasza instancja par tyjna nigdy nie robiła więcej, niż wyni kało to z decyzji Egzekutywy i Plenum KW. Podobnie działo się w jeszcze dwu województwach zachodnich — koszaliń skim i polskim. Trzy nasze województwa chciały, musiały, podciągnąć się do poziomu pozostałych województw. Na szym celem było udowodnienie wła dzom centralnym, że powołanie nowych województw w Koszalinie, Opolu i Zie lonej Górze nie było jedynie decyzją administracyjną. Kiedy osiągnęliśmy wytyczony cel, było trudno świecić przykładem i utrzymać się wysoko.

J. KOŁODZIEJ: — Przestrzegam przed zależnością między pracownika mi i funkcjonariuszami aparatu partyj nego a poziomem rozwoju kultury w naszym regionie. Nie znaczy to, że umniejszam ich rolę. Zdaję sobie sprawę z tego, że w aparacie partyjnym pracowali i nadal pracują tylko ci, którym za leży na rozwoju regionu, którzy reali zują zadania wytyczone przez Plenum i Egzekutywę KW.

Twórca kultury czy działacz obecnie posiada dużo mniejszą rangę społeczną niż miał ją lat temu dwadzieścia. We władzach wybieralnych — komitetach partyjnych i radach narodowych — jest za mało ludzi profesjonalnie i amato rsko związanych z kulturą i sztuką. Do prowadzono to do tego, że ludzie kultury i sztuki poculi się mniej potrzebni, mniej dostarczali, a nawet mniej waż ni. W przeszłości żadna sesja rady na rodowej, obrady instancji wojewódzkiej, narada na tematy kultury nie mogły się odbywać bez wcześniejszej dyskusji w środowisku kultury, bez głosu twórców i działaczy społecznych. Uwagi ich przyjmowano jako ważne, mądre. Na Plenum w 1969 r. ówczesny pierwszy sekretarz KW powiedział, że baza kulturalna Zielonej Góry nie odpo wiada potrzebom społeczeństwa. Ale jak on to powiedział! Nigdy więcej nie słyszałem takiego wystąpienia. Sekre tariusz z jednej strony chodził o rozwój miasta, z drugiej zaś chyba także o uzyskanie uznania w środowiskach twór czych. Partia ujęła się za nimi.

Uważam, że inspiracja partyjna musi mieć konkretne wymiary. Nie można tylko mówić: popieramy, jesteśmy za, uważamy, robicie towarzysze. To za ma ło, żeby rozdzielić się nowe i rosło przy bierając oczekiwane rozmiary. Na ilu obradach plenarnych KW podejmowa no decyzję o przekształceniu „Nadodr za” w tygodnik? I co? A szkoła mu zyczna? A oficyna wydawnicza? Rozu mniem, że występują trudności, że są problemy ważne, ale pewne rzeczy trze ba doprowadzić do końca.

Gdybym miał odpowiedzieć na pyta nie: co brać z doświadczeń naszej par tyi, odpowiedziałbym: kreację i inspi rację.

J. SZACHOWICZ: — W przeszłości czołowa kadra kierownicza województwa sprawy kultury rozumiała nie tylko instrumentalnie. Autentycznych dzia łaczy, rozumiejących potrzeby społecz ne, było więcej. Niedawno rozmawia łem z dyrektorem dużego przedsiębior stwa. Spytałem go, czy zakład realizuje politykę kulturalną partii i państwa. Odpowiedział: my jesteśmy od produk cji. Kulturę niech zajmują się inni. Po szedłem do załogi, a tam słyszę, że lu dzie czekają na przyjazd teatru, chcą oglądać wystawy, spotykać się z pisa rzami.

J. KOŁODZIEJ: — W kampanii przed X Zjazdem i podczas Konferencji Wojewódzkiej nie mówiło się za wiele o kulturze. A i teraz więcej się dysku tuje o reformie gospodarczej niż o in nych sprawach naszego życia codzien nego.

J. MUSZYŃSKI: — Szukamy m.in. odpowiedzi na pytanie: kto się w ostat nich latach najbardziej zmienił — partia czy społeczeństwo? Zastanawiamy się, czy partia ma mniej siły, by pełnić rolę motoru wszelkich działań? W na szej obecności upadło hasło o jedno-

zdrowego rozsądku. Ale gdzieś zatrzy maliśmy się, zagubiliśmy. Odbiła się to na naszym samopoczuciu, osadzie pocz yna partii, stąd i w nas tyle pesymizmu.

Żyjemy w Polsce, w XX wieku, ale i żyjemy na Ziemi Lubuskiej, gdzie pro cesy społeczne przebiegają nieco ina czej niż w reszcie kraju. W przeszłości mieliśmy działaczy, umiających skupić wokół siebie ludzi kochających tę zie mię, zaangażowanych, ofiarnych. Czy dziś mniej patriotów lokalnych? Czy dziś nie ma w instancjach partyjnych takich, którzy potrafią przekonać mło dych, że awans wszystkich Lubuszan, jest także prywatnym awansem każde go absolwenta WSP, WSI? Partia bę dzie wtedy partią kochaną, chcianą, je śli stanie w obronie i wesprze ludzi pra cy, sztuki, nauki, partyjnych i bezpar tyjnych, ale uczciwie żyjących.

S. SWINIARSKI: — Partii jest coraz trudniej być wśród twórców i dzia łaczy kultury. Wiele tradycyjnych metod upowszechniania kultury zastąpiły nowe techniki, na przykład wideo, na któ re terenowa instancja partyjna ma nie wielki wpływ. Partia może coś popie rać, ganić, ale musi mieć swoje propo zycje — lepsze, na wyższym poziomie itp.

Administrowanie kulturą jest osta tecznością, której nie popieram, ale je śli brakuje inicjatyw oddolnych, to czy zawsze ganić ten sposób działania? Re prezentuję gminę pozbawioną znaczą cych placówek kultury, niewielką, po łożoną z dala od Zielonej Góry i więk szych ośrodków miejskich. Podczas po siedzenia Egzekutywy Komitetu Gmin nego PZPR stwierdził, że najwyższy czas, by powołał w naszej gminie towarzystwo regionalne. Nie zastąpi ono istniejących placówek, ale może być inicjatorem nowych poczyniań. Kie dy ogłosiliśmy naszą propozycję, wielu mieszkańców gminy spytało, dlaczego nikt wcześniej nie wpadł na ten po mysł. Czy to jest sterowanie kulturą i należy je potępić? Owszem wniosek ta ki mogła zgłosić organizacja młodzież owa, związkowa, lecz nie zgłosiła. Zro biła to partia.

W przeszłości kultura wiejska spo czywała na barkach nauczycieli. Wraz z upowszechnieniem ośmiolletniej szkoły podstawowej pedagogzy, może i dlate go, że doszły im dodatkowe obowiązki, wycofali się z czynnego życia kultural nego. Przypomnieliśmy i wytknęliśmy to naszym nauczycielom. Nie wszyscy, ale większość zgłosiła chęć służenia spo łeczeństwu. Zdajemy sobie sprawę z te go, że żyjemy w innych czasach, że ma my społeczeństwo zajęte swoimi spra wami, że dziś trudniej zorganizować klub i wyposażyć go w sprzęt audio wizualny. Nie możemy się jednak po godzić z obojętnością, liczeniem tylko na zawodowych organizatorów życia kul turalnego.

W. NODZYŃSKI: — Zwraca uwagę, że politycy wojewódzcy, którzy w la tach sześćdziesiątych mieli do wyboru wiele doniosłych zadań, wybrali kartę z napisem: polityka kulturalna. Wybrali i wygrali, bowiem spotkali się to ze społecznym odzewem wspartym olbrzymimi pokładami energii społecznej. Od notując cały szereg dokonań od koń ca lat sześćdziesiątych rejestrowaliśmy narastający proces degradacji kultury. Wystąpiły inne priorytety — gospodar cze. Na łamach „Nadodrza” zastanawia liśmy się, jak ożywić społeczny ruch kulturalny. Wolałiśmy, że trzeba nakre ślić ten stary zegar. To już były pierw sze skutki biurokratyzowania ruchu re gionalnego w naszym województwie. Degradację pogłębił fakt podziału admi nistracyjnego kraju w 1975 roku. Jedne go dnia zawały się wszystkie progra my rozwoju kultury, rozleciały się aktywne skupiony dotąd wokół powiatowych in stytucji i stowarzyszeń. Powstała próż nia, istniejąca w wielu dziedzinach do dziś. Jak w wyniku tego ucierpiała choć by tylko kultura wiejska!

Co więc robić, aby ten trwały proces degradacji zahamować? Dużej nie można czekać. Zaczynamy nowe propo zycje, a nie ma kto nas poprzeć. Choć by wydawnictwo! Nam nie chodzi tyl ko o wydawanie książek miejscowych autorów, lecz o stworzenie nowej, inter dyscyplinarnej instytucji kulturalnej, która mogłaby mieć wpływ na to, co się w dziedzinie kultury dzieje. Na na szą propozycję ogłoszoną pod koniec ubiegłego roku w „Nadodrze”, nie ode zwał się publicznie ani jeden mecenas kultury, nikt nas nie potępił ani nie poparł. Czy to byłoby możliwe kilkanaś cie lat temu?

Opracował: ALFRED SIATECKI

W JEDNYM Z BLOKÓW PRZY UL. SOSNOWEJ W ŻAGANIU MĄŻ UDUSIŁ ŻONĘ, CIAŁO SCHOWAŁ W WERSALCE I NA TEJ WERSALCE SPAŁ PRZEZ TRZY NOCE.

★ ★ ★

We wtorek 13 stycznia 1987 r. do Rejonowego Urzędu Spraw Wewnętrznych przyszły dwie kobiety. Są zaniepokojone, powiedziały, nagła nieobecność w pracy ich koleżanki Alicji Figier. Mąż jej, Zdzisław, poprosił wczoraj o pięciodniowy urlop dla żony, która, jak twierdził, wyjechała do rodziny. Wyda się to dziwne, ponieważ gdy rozstawały się w piątek przed wolną sobotą, Alicja nie wspominała, że wybierze się na drugi koniec Polski. Zresztą czy mogła wyjechać bez zgody w okresie, gdy w dziele w re pracy przy bilansie?

Swoją niepokojącą kobietą uważają za uzasadnioną, gdyż Figierowa zwierzała się, że boi się męża. Niedawno odbyła się ich pierwsza rozprawa rozwodowa, a mąż miał podobno powiedzieć do Alicji, że drugiej rozprawy ona już nie doczeka.

Kierownik referatu dzielnicowych po rozmowie z szefem referatu kryminalnego mł. chorążym Waldemarem Kowalem. W parę minut później grupa operacyjno-dochodzeniowa była już na miejscu.

Drzwi otworzyli dzieci. Zdzisław Figier siedział na wersalce, na której była pościel. Nie podniósł się na widok milicji, ani też wówczas, gdy przy pomocy dzieci próbowano ustalić, w co Figierowa ubrała się, wyjeżdżając, skoro kurtka jej wisi na wieszaku, a palto w szafie.

— Niech no się pan podnieś z tej wersalki, panie Figier — rozkazał nagle st. sierżant sztabowy Zbigniew Reguśki.

Figier wstał. Otworzył wersalkę. W pojemniku na pościel leżała Alicja Figierowa, boso, w spódnicy i cienkiej bluzce. Była martwa. Na jej szyi widniało małe, krwawe pęknięcie.

Dzieci, 13-letni chłopczyk i 11-letnia dziewczynka zachowały się spokojnie. Wyprowadzono je do drugiego pokoju, a następnie odwieziono do ciotki na inną ulicę.

— Dlaczego zabił pan żonę? — padło pytanie.

— Udusiłem ją, bo nie chciała ze mną żyć — odpowiedział Zdzisław Figier.

W szafce stały świeżo zakupione przez Figiera dezodoranty i wody kwiatowe, a na stole między papierami znalazł się napisany jego ręką testament:

„Przekazuję mieszkanie wraz z wyposażeniem moim dzieciom. Upoważniam moją matkę do zarządzania tą pośmiertnością. Skreśliłem te parę słów po uduszeniu mej małżonki. Zrobiłem to z rozpaczy, ponieważ czułem się oszukany, zdradzony i poniżony. Żyłem od paru miesięcy w depresji psychicznej. Na mój pogrzeb niech przyjdzie najbliższa rodzina. Wybaczcie mi, ale dłużej nie mogłem znieść tej gehenny. Moje życie po powrocie żony z sanatorium stało się makabram. Odchodziłem od Was ze smutkiem i żalem. Błagam Was zaopiekujcie się moimi dziećmi, żeby one nie przeżyły tej tragedii co ja. Żegnajcie”.

★ ★ ★

Akta sprawy o zabójstwo. Zapisy rutynowych czynności milicji i prokuratora. Zlecenia na konwojowanie więźnia do Zar, bo areszt w Żaganiu jest w remoncie, potem do Zielonej Góry. Spisane ręcznie oraz na maszynie protokoły z przesłuchań świadków. Kartonowy „parawanik” z rysunkami sytuacyjnymi i fotografiami — w języku milicyjnym nazywa się to „materiałem poglądowym”, a na zdjęciach wykonanych z perfekcją przez st. chorążego Edwarda Osiewicza, blok przy ul. Sosnowej, wnętrze pokoju w którym rozegrała się tragedia oraz ciało Alicji Figier w wersalce, i po wyjęciu ze schowka, na podłodze.

Jest też kilkunastoczęściowy „protokół oględzin i otwarcia zwłok”, wraz z rachunkami za ich przewóz do Nowej Soli, gdzie robiono sekcję i z powrotem, oraz ze zdjęciami... Sekcja potwierdziła, że przyczyną śmierci było uduszenie. Ale wykazała również, poza wylewem na podłogę, pewne ślady w wewnętrznych narządach rodnych, mogące wskazywać, iż Alicja Figier krótko przed śmiercią, miała stosunek. Na spodniach Zdzisława Figiera znalezionych w pościeli, były charakterystyczne plamy, z których pobrano próbki i analiza wykazała ich pochodzenie...

★ ★ ★

Wiesz o zabójstwie błyskawicznie obiegła Żagań. Ludzie do dziś opowiadają sobie różne wersje tego zdarzenia. Figierowie, oboje jeszcze młodzi, przystojni, wraz z synem i córką tworzyli na zewnątrz rodziny, jakich wiele. Miejszkał w pięknym, trzypokojowym, wygodnie urządzonej mieszkanie. Przy ul. Nowogrodzkiej w ogródkach miejskich „Bajka” mieli starannie uprawianą działkę. Figierowa uchodziła za kobietę zadbaną i elegancką, a wygląd jej mógł świadczyć, że nie żyje jej się źle. Niedawno ukończyła w Zielonej Górze kurs księgowości, na który przez dłuższy czas dojeżdżała, co bez sprzyjających warunków rodzinnych byłoby raczej niemożliwe. W sierpniu 1986 r. była z dziećmi na wczasach w Szczyrkach, na kilka ostatnich dni pojechał do niej mąż. W miesiącu później widniał na ich razem na wycieczce zakładowej w Bronkowice.

Jednak inny obraz tej rodziny znają kobiety, które kontaktowały się z Figierową na co dzień, jak np. jej szkolna koleżanka S. Razem zdawały matu-

re w LO i razem uczyły się potem w szkole technicznej. Od lat odwiedzały się nawzajem i S. nie raz wysłuchiwała zwierzeń przyjaciółki na temat jej męża, który, jak mówiła, lubił alkohol, a gdy wypije skłonny jest do awantur i rękoczynów. Aby odciągnąć męża od wódki, Alicja postarała się o działkę, którą on z zapałem uprawiał, ale pili dalej. W 1985 r. S. była świadkiem w sądzie, gdy Figier otrzymał wyrok skazujący, z zawieszeniem.

Niedawno Alicja powiedziała do S., że broni się przed stosunkami z mężem, a jeśli ulega, to tylko dlatego, że „po stosunku on robi się spokojniejszy”. S. wie, że Figierowa chorowała „na kręgosłup”, „miała coś z nerkami” i była znerwicowana z powodu nadciśnienia i tarczycy. Przed wyjazdem do sanatorium w październiku 1986 r. Figierowa wspominała przyjaciółce o swym zamiarze rozstania się z mężem. Po powrocie mówiła, że odpoczęła psychicznie i że... poznała kogoś miłego.

Sasiadka z tego samego bloku wspomina Figierową, gdy ta skarżyła się do niej na męża, który bije ją, wyzywa i poniża w obecności dzieci. Jednego razu widziała u Alicji guzy na głowie i podartą bluzkę. Zdarzyło się też, jak mówi, że nocowała jej u siebie, razem z dziećmi. Ale oświadcza, że nig-

henne i jeśli ostatnio w jej życiu zaświatał promyk, nie można tego brać za grzech — powiedziała o zmarłej jedna z pań księgowych.

★ ★ ★

Ciotka, u której Figierowie mieszkali zaraz po ślubie, pamięta, że weszła kiedyś do ich pokoju i zastała Alicję płaczącą. Zdzisław powiedział wtedy, żeby się nie wtrącała, toteż nigdy już potem nie ingerowała w pożywie tych dwojga. Wiedziała, że Zdzisław lubi wypić, ale nie widziała, by bił żonę. Właśnie, że Alicja nie chciała pokazywać ludziom posiniaczonej przez męża twarzy, wzięła sobie kiedyś 14 dni urlopu.

Mieszkający w odległym województwie brat Alicji mówi, że gdy latem 1986 r. odwiedził Figierów, „zauważył, że źle ze sobą żyją, ona była zdenerwowana, a on dawał jej powody”. Alicja mówiła mu, że mąż znęca się nad nią moralnie i fizycznie, natomiast Zdzisław prosił go: „rób coś, żeby było lepiej między nami”.

Syn Figierów, uczeń VII klasy opowiada, jak było nazajutrz po pierwszej rozprawie rozwodowej rodziców, 24 grudnia 1986 r. Matka szykowała wigilię w mniejszym pokoju, w którym od miesiąca spała z córką. Ojciec w tym czasie „żał w dużym pokoju na wersalce i oglądał telewizję. Wigilię zjedli w trójkę, bez ojca, który „był pijany i przeszkadzał im w jedzeniu”. Po kolacji Figierowa z dziećmi pojechała do mieszkającej w Zarach teści-

z Zar, ona z Żagania. Zakochali się w sobie nawzajem i pobrali w 1973 r. Już w pierwszych latach małżeństwa Alicja była pobudliwa i wybuchowa. Jednego razu, gdy wrócił z pracy i po dniu spędzonym w tkalni wśród huku maszyn, odmówił pójścia na spacer z dzieckiem, rzuciła w niego szklanką. Sprzeczała się i kłóciła, ale pomimo to żyli nie najgorzej i dorabiali się. Poddasze u ciotki zmienili na lepsze mieszkanie, a po kilku latach wprowadzili się do bloku spółdzielczego na Sosnowej...

Pożyłcie ich psuło się w ostatnich miesiącach, a po powrocie Alicji z sanatorium 4 listopada 1986 r. zmieniło się generalnie na bardzo złe. Zaraz po przyjeździe Figierowa powiedziała mu, że zakochała się w mężczyźnie, który mieszka w Łodzi i z którym zamierza się połączyć, w związku z czym chce rozwodu. Zaraz też przeniosła się ze spaniem do pokoju córki...

Cały listopad był, jak mówi Figier, burzliwy, kłótnie wybuchały nieustannie. Po rozmowie ostrzegawczej w prokuraturze, Figier, jak twierdzi, unikał awantur i czasem dla spokoju wychodził z domu.

W noc sylwestrową wrócił z Zar około 4.00. Córka została u babci. Wykapał się i do wody rzucił skarpetki, aby je uprać. Nieprawdą jest, jakoby zostawił wodę w wannie w celu utopienia żony... Około 6.00 do mieszkającej w Zarach teści-

W tym czasie córka była na próbie zespołu artystycznego w szkole, a syn poszedł do punktu skupu z butelkami po mleku. Pomyślał, że dzieci nie powinny zobaczyć matki w takim stanie. Otworzył wersalkę i ułożył wewnątrz ciało żony. Potem odkurzył mieszkanie, bo było tego dnia jeszcze niesprząnięte. Dzieciom powiedział, że mama musiała wyjechać do Łodzi do pana Zenka. „W lodówce były kotlety, zjedliśmy je z chlebem...” Wieczorem położył się na wersalce i rozmyślał o tym, co się stało.

Nazajutrz była niedziela i dzieci poszły do kościoła. „Coty dzień chodziłem z kątą w kąt...” W poniedziałek poszedł do sklepu po chleb i mleko. Kupił też dezodoranty i wody kwiatowe. Za pośrednictwem koleżanki zalał dla Alicji w jej zakładzie pięć dni urlopu. Za telefonował też do swego miejsca pracy i poprosił o urlop dwutygodniowy. „Nie potrafię wyjaśnić, dlaczego tak kombinowałem z urlopem żony...”

„W sobotę i niedzielę nie piliem wódki. W poniedziałek wypilem 200 g i we wtorek około 300 g. Łącznie w po niedzieli i wtorek wypilem blisko pół litra...”

„We wtorek 13 stycznia po godzinie 15.00 przyszedł milicjanci i pytał o żonę. Powiedziałem, że pojechała do rodziny, zdaje się, że podał adres. Jeden z milicjantów kazał mi zostać z wersalki...”

★ ★ ★

Jest poniedziałek 9 lutego 1987 r. Jutro minie miesiąc od tragicznego wydarzenia. Przyszedł właśnie do Aresztu Śledczego w Zielonej Górze, by za zezwoleniem prokuratora porozmawiać ze Zdzisławem Figierem. Jest wysoki, szczupły, o dużych, ciemnych oczach, bardzo spokojny. Mówi, że wszystkie dni i noce po śmierci żony spędził w głębokiej apatii. Myśli, że nie warto już walczyć o cokolwiek, nawet o życie...

Chciał popełnić samobójstwo natychmiast gdy stwierdził, że żona nie odycha. Jednak po napisaniu testamentu pomyślał o działce, którą uprawiał, o altanie, którą zbudował... I postanowił odłożyć ten ostateczny krok, do czasu przekazania działki koleźce, z poleceniem, by należność za działkę otrzymała dzieci. Do kolegi zatelefonował, ale go nie zastał. Dzień swojej śmierci zaplanował na 15 stycznia br. Jak wia domo wykonanie planu udaremniała milicja, znajdując 13 stycznia zwłoki żony...

Syna nie pobił, lecz uderzył go ręką w głowę, co się ojcom zdarza, karcąc chłopca za nieporządek w piwnicy. Syn plecami uderzył się o skobel, a żona zaprowadziła dziecko do lekarza i wzięła zaświadczenie, które przedstawiła w sądzie... Żony nie maltretował. Jest nerwowy, więc łatwo dawał się prowokować. „Kiedy ktoś bije mnie raz w policzek, ja nie nadstawiam się na drugi raz, tylko oddaję...” Kiedyś żona uderzyła go wieszakiem w ramię, aż wieszak się złamał. On za to uderzył ją w twarz. Wtedy także poszła do lekarza i zrobiła doniesienie na MO. „Ja nikomu nie pokazywałem swoich sinia ków...”

W wigilię czuł się osamotniony i nie szczęśliwy. Żona nie poprosiła go do stołu. Ciężko to przeżywał. Mówił, że w tym dniu chciał żonie przebaczyć i prosił, by wycofała pozew. „Mówiłem: ktoś cię zauroczył, zakochał się, ale ja ci przebaczam...” W pozwie były kłamstwa. Gdyby faktycznie wszystko przepijał, inaczej wyglądałoby ich mieszkanie. Nie uważa się za pijaka, a tym bardziej za alkoholika. Zarabiał 25-30 tysięcy zł, które oddawał żonie. Nawet w tragicznym, ostatnim ich wspólnym dniu wręczył Alicji 20 tysięcy zł, z wypłaty otrzymanej dzień wcześniej, zatrzymując sobie 8 tysięcy na zakup swetra. Nie wiedział, że za dwie godziny stanie się to, co się stało...

Jak mógł spać na wersalce, wiedząc, że wewnątrz jest ciało zamordowanej przez niego żony? Ależ on właśnie spać nie mógł, nie zasnął nawet na moment i sam nie wie, jak to się działo, że spędzał długie godziny na tej wersalce. Był zresztą pod wpływem tabletek nasennych i relanium. „Miałem, aż pękała głowa... Czy pani wie, że ona przynosiła się do zdrady, gdy byliśmy w łóżku?”

Gdyby wiedział wcześniej, że wybuchosłość żony wynika z choroby tarczycy, byłby bardziej ustepliwy. Siedząc w celi czyta książkę pt. „Psychoterapia” i odkrywa na nowo — siebie, Alicję i całe ich niespokojne życie, za kończące straszny finał. „Gdyby wcześniej taką książkę znał...”

★ ★ ★

Była rodzina, nie ma rodziny. Ona w grobie, on w areszcie z piętnem zabójcy, dzieci daleko stąd. Mieszka nie z dwoma telewizorami, magnetofonem, pralką, zamrażarką itd. stoł pustą. Te cztery ściany mogłyby powiedzieć więcej o gehennie tych dwojga, przeżywaną razem i osobno, bez porozumienia i bez tolerancji, niż powiedział przed sądem relacje przyjaćciół zamordowanej i spowiedź samego zabójcy.

Od autorki: ze względu na dobro dzieci nie skorystalam z zezwolenia Prokuratury Rejonowej w Żaganiu na ujawnienie nazwiska sprawcy. Nazwisko zamordowanej kobiety i jej męża oraz imiona obojga, zostały w reportażu zmienione.

W SAMO POŁUDNIE

Halina Ańska



Fot.: CZESŁAW LUNIEWICZ

dy nie była świadkiem awantury wszczętej przez Zdzisława Figiera.

★ ★ ★

Burko Alicji Figier jest jeszcze niezajęte. Przy biurku tym Figierowa siedziała od września 1986 r. Przedtem pracowała kolejno w dwóch innych działach w tym samym zakładzie. Uzyskanie etatu w księgowości było dla niej awansem, zawodowym i finansowym. Jej bezpośrednią kierowniczką pani J. określa ją, jako osobę ambitną i obowiązkową. Inne panie dodają, że była ładna, zaradna, umiała szyć, dobrze pro wadziła dom.

Kobiety pracujące w tym pokoju znały na bieżąco sprawy rodzinne Alicji Figier z jej opowiadań. Wiedziały o wniesionym przez nią pozwie rozwodowym i gorąco ją w tym popierały. Są przekonane, że Zdzisław Figier, jakkolwiek nie pokazywał się na ulicy pijany, to jednak pił i zapewne dlatego dręczył żonę od dawna, a ostatnio groził, że ją zabije. Opowiadała ze łzami, że w Nowy Rok dusił ją poduszką, a gdy uciekła do łazienki, chciał ją utopić w wannie, w której celowo zostawił wodę po kąpielach.

Dokładnie znają sprawę, która odbyła się w sądzie przed dwoma laty, kiedy Figier został skazany za znęcanie się nad rodziną. Pobił syna za to, że jak opowiadała Alicja, chłopiec zobaczył go z jakąś kobietą i poinformował o tym matkę.

Przed wniesieniem sprawy o rozwód, 27 listopada 1986 r. — co pamięta niemal cały dział, gdyż był to dzień imienin jednej z pań, Figierowa przyszła do pracy posiniaczona i mówiła że tym razem mąż byłby ją chyba zabił, gdyby ktoś nie zadzwonił nagle do drzwi. W listopadzie 1986 r. do Figierów dwukrotnie wzywała była milicja...

wej, prosić ją, by ta zabrała do siebie Zdzisława na okres świąt. Nazajutrz Alicja wróciła do Żagania z dziećmi i teściową, która po paru godzinach pojechała do Zar ze Zdzisławem. „Tato wrócił do domu po świątach...”

Dalej chłopiec opisuje Sylwestera i No wój Rok. „Tato z siostrą pojechali do babci, a mama poszła na prywatkę...”

Chłopiec oglądał telewizję, a potem poszedł spać. Kiedy się obudził, w mieszkaniu był już ojciec. Znowu zasnął, aż zbudziła go dobiegająca zza drzwi głośna rozmowa, prowadzona przez matkę, ojca i nieznanego głos męski. Ojciec powiedział do nieznanego, że jeśli ten będzie dalej zadawał się z jego żoną, to on ją zabije, a sam powiesi się na kłame. Chłopiec wyszedł z pokoju i zobaczył nieznanego. Widział też, jak ten obcy pan z ojcem piją szampana. Nieznajomy był w ich mieszkaniu przez cały dzień...

★ ★ ★

W środę 14 stycznia 1987 r. po nocy spędzonej w areszcie, Zdzisław Figier był przesłuchiwany od rana w Żaganiu przez mł. chorążego Waldemara Kowala i prokuratora Bożenę Brzozowską. Pani prokurator zna Figiera z poprzedniej sprawy. W listopadzie ub. roku w związku z doniesieniem Figierowej, wezwala go i osobiście ostrzegła, że jeśli nie przestanie dokuczać żonie, pójdzie siedzieć.

Po wysłuchaniu przedstawionych mu zarzutów Figier poprosił o umożliwienie mu kontaktu z rodziną, ponieważ brakuje mu odzieży i pieniędzy. Powiedział, że owszem, udusił żonę, ale został przez nią sprowokowany. Ona pierwsza go zaatakowała. Nie chciał jej zabić, tylko przestraszyć i nie zdawał sobie sprawy, że tak mocno zaciska ręce...

Alicję poznał w 1972 r. na wczasach nad morzem. Oboje mieli po 22 lata, on



Rys. LESZEK HERMANOWICZ

Waldemar Mystkowski

Pistolet

Udało mi się go ocalić
z historii współczesnej, dzisiaj
z pewnością nie do użytku.
Zresztą nie wiem, nie sprawdzałem.

Sytuacja posiadania go
wydaje mi się moralnie dwuznaczna.
Ale przynajmniej istnieje
minimalna szansa użycia,
gdybym chciał targnąć na siebie.

A że do przesady kocham życie
ten margines jest bezużyteczny,
kojczy mi się z taką wolnością.
Jest zardzewiały, ale trzymam go w towarce,
czasami zaglądam w gwintowaną lufę.

Podobnie robił dziadek,
podejrzalem go. A gdy umierał,
wykradłem z jego skrytki.
Teraz trzymam we własnym schowku,
raz w miłosnym uniesieniu
przyznałem się żonie, ale ona nie chciała
wierzyć; to dobrze.

Zresztą dziadek był teherem
tak jak ja. Nabój smrodu.

Do Laury

W kobiecie jest kobieta,
jak w rybie — ryba.

Gdy wypływa na szerokie wody,
jedna i druga,
opada łuska, Oraz rozchodzą się brzegi.

Zanurzona
w prawie Archimidesa
drwi z osiągnięć współczesnej psychologii.

To tylko atrament
ewentualnie inne akcesoria
starają się zakreślić jej miejsce.

Nawet
gdy krwawią skrzela
i w pyszczku niesie skargę,
farbuje powierzchnię lustra.

Pozostawia niepisany ślad
i osad soli
na ustach.

Czasami
chwytają się mężczyzny
jak brzytwy.

Lecz wtedy
jest już martwa.

Ręka

Tu była czyjaś ręka.
Tu czuć czyjaś rękę.

Jak widzimy, ręka
może oderwać się od ciała
i ma swój specyficzny zapach,
tylko jej właściwy.

Ręka, która chodzi na własną rękę,
nie przestaje być ręką.
Zyskuje nadmiar ręczności
i jest istotą samej siebie.

To jest właśnie wolna ręka.

Wolna ręka nie zna granic,
choć tę ostatnią
musi czasami pokonywać cicho na palecach.

Ręka poza granicami ciała
jest emigrantem, Oderwana,
lecz nie sprzedana.

Jej linie papilarne są obroną
przed obcością i dwuznacznością.

Ręka błąka się w dłoni,
i jest pięścią. Poci się
ze strachu i pogroźek.

Ręka wydziela specyficzny zapach,
który czasami nazywamy patriotyzmem.

Zaś płonąca ręka wydziela
ślad paznokci.

(Z przygotowanego do druku tomu wierszy „Zabójstwo Gombrowicza i inne”)

„Czy można jeszcze grać w piłkę na nadrzecznych
błoniach?
Czy chłopaki wciąż biegają za skórą, gdy ja już
nawet prosto stać nie umiem?”

Można dopóki piłka jest w grze.
Dopóki chłopcy grają czując i rozumiejąc.
Dopóki bramka stoi, gdzie powinna stać.
Dopóki bramkarz stoi, by bronić bramki.
Dopóki nurt rzeki płynie wzdłuż linii bramkowej.

Ale dlaczego ja już nawet prosto stać nie potrafię.
Bronić nie potrafię, z sercem słabnącym na aucie.
Jak statek znający młodość jedynie z widzenia.
A. E. Housman

przewieź. Rano ojciec ubierał się
i, uważając aby mnie nie przebudzić,
wychodził na kilka godzin. Wieczorami
prał pieluchy, które rozwieszone na
sznurze schylił i wydzielały zapach zżare
go mydła. Nieprawdą, że głupio komu
się przyznać, iż dorosły mężczyzna zaj-
mował się takimi czynnościami. Mógł-
by na przykład uganiać się za kobieta-
mi lub za piłką nożną. Ojciec robił to
wszystko, a więc uganiał się za piłką
nożną i kobietami, w których, jako środ-
kowy napastnik drużyny piłkarskiej wio-

bus gola! — Tatusi uwijał się jak w u-
kropie. Piłka wydawała głuche odgłosy
uderzając w poprzeczkę, czy słupki bra-
mek lub w twardą powierzchnię mura-
wy. Po żużlowej biegni otaczającej boi-
sko chodzili wszędziebyscy działacze
sportowi i wolali po imieniu do piłka-
rzy, dając im sprzeczne instrukcje. Pu-
bliczność również zagrzewała do ostrej,
bezpardonowej gry. Selekcjoner, widząc
sposób prowadzenia piłki krótko przy
nodze, co utrudniało interwencję przeciw-
ników, mruzczał pod nosem: — Wspania-
ły ten pan mąż. Wspaniały! — Mama

siał się poddać skomplikowanej opera-
cji. Tak podał lokalna prasa.

Kobus nie tylko poddał się skompliko-
wanej operacji, ale przeleżał w szpitalu
do późnej zimy. A zimą miał poje-
chać na zgrupowanie kadry narodowej.
Przed tymi tak ważnymi eliminacjami
do mistrzostw świata, które jednak zmu-
szony był obejrzeć w telewizji. Dyrek-
cja zakładu dla swojego pracownika ze
składek wieńców żałoby obdarzyła nas te-
lewizorem marki „szmaragd”, abyśmy
mogli w gronie rodzinnym śledzić zma-
gania kadry narodowej podczas spo-
tkań ćwierć — i — półfinałowych i wre-
ście finałowych. Jeszcze wcześniej zo-
stał wybrany sportowcem roku. W o-
kregu. Wyniki ogłoszono na balu, gdzie
godnie zastąpiła go mama. Jednakże oj-
ciec starał się nie wrażeń nieprzewidzia-
nymi okolicznościami, które przykuły
go do łóżka. Nadal otrzymywał premie
za nierozgrywane mecze. Kierownictwo
klubu było dobrego zdania, wierząc, że
Kobus dokona jeszcze czegoś takiego, z
czego nie tylko on, ale całe miasto, be-
dzie dumne.

Mecze transmitowano na żywo. To do-
datkowy, niezawodny walor. Ojciec z
niedowierzaniem stwierdził, że w czasie
gry chwilami odczuwał wrażenie, jakby
to on sam grał, demonstrując swoje da-
wne popisywe zagrywki. Widowsko sło-
bez słów, pomijając zbędne komentarze
matki i wdowy, która w osobie środko-
wego napastnika widziała jedynie ojca,
kibicując.

— Pan, panie Romeczku, wykiwałby
go — albo: — Pan, panie Romeczku,
zdobyłby gola.

W pewnym momencie wpadła bram-
ka.

Goool! — krzyknęła radośnie mama i
przytuliła się do ojca.

Tatusi ochłodził jej entuzjazm: — U-
spokój się. To nam wbił.

Zapanowało milczenie, które przerwa-
ła wdowa:

— A nie mówiłam, panie Romeczku,
że jak pan grałby, nie doszłoby do tego!

Piłka nożna z zasady winna być poka-
zywana na niemo. Tego zdania był oj-
ciec. Komentator nie zawsze nadąża za
obrazem. Bywało, że ojciec, kibicując,
nadwierał ledwo co zoperowane koń-
czyny dolne. Masując długo twarde i bo-
lesne zgrubienia uświadamiał, że jeżeli
kiedykolwiek poświecę się całkowicie
futbolowi, to nauczy mnie gry fair play.
Ten tytuł też mu nie był obcy. Ależ
coż z tego, skoro odtąd sam lekko uty-
kał. Przez rok albo dwa. Na zmianę po
gody skarzył się na pulsujący ból nóg.
Już nigdy nie wybiegł na murawę boi-
ska. W tym czasie miałem siedem, o-
siem lat i wiedziałem, że piłka nożna
jest grą między dwiema drużynami, z
których każda składa się po jedenastu
graczy. Skórzana piłka, z gumową dęt-
ką, dobrze napompowaną powietrzem, o
obwodzie 68-71 cm i ciężarze przed roz-
poczęciem gry 396-453 g., należy umie-
ścić w bramce przeciwnika, która powin-
na mieć wymiary 7,32x2,44 m., równo-
cześnie broniąc dostępu do własnej bram-
ki, gdy przeciwnik jest stroną atakują-
cą, na boisku kształtu prostokątnego a
długości 90-120 m i szerokości 45-90 m
a podczas rozgrywek międzynarodowych
boiska mają wymiary: 100-110 m długo-
ści i 64-75 m szerokości. Czas gry 2x45
minut. Przed rozpoczęciem meczu losu-
je się boiska. Następnie drużyny wita-
ją się. W czasie gry trybuny i płyta boi-
ska stanowią jedną całość stadionu. Tak
twierdził ojciec już jako honorowy re-
prezentant klubu piłkarskiego.

Opowiadanie piłkarskie

Mieczysław Warszawski

nych zwolnień na okres ośmiu godzin,
aby tylko mógł rozwijać dalej się i
skoczność głównie w przybramkowych
sytuacjach. Ponadto ojciec nie zadowala-
ła ilość przeprowadzanych ćwiczeń na
boisku, więc trenował także w domu.
Kiedy tylko budził się w nocy, wychod-
ził gimnastykować się na sprężynach,
groźące zawaleniem schody, bądź chyli-
kiem przekradał się do ogródka wdowy,
gdzie ćwiczył krótkie sprinty z takim
impetem, że cały dom trząsał się w po-
dach a po warzywach zostawało jedy-
nie to, co mógłby pozostawić tuż swini
lub dzików. Z tego powodu wdowa o-
mala co nie wypowiadziała nam miesz-
kania. Ale wdowa ponoć także była za-
gorzałym kibicem. Nie tylko zbierała
wycinki prasowe wychwalające pod nie-
biosy poczynania Kobusa na boisku, ale
i przysyłała się w barwy klubowe pod
czas meczu. Stara, zdziwaczała fana-
tyczka! Rzeczywiście, proporcjonalnie
do wzrostu dawek treningowych podno-
siła się forma Kobusa, a o jego nieby-
walej kondycji krążyły wręcz legendy,
o czym skwapliwie informowała czytel-
ników na swych łamach miejscowa pra-
sa. Matka tego nie pochwałała, ponoć
od czasu do czasu wybuchała:

— Dla ciebie tylko piłka i boisko, bo-
isko i piłka! Co ja mam z tego życia?
Nawet własnego kątka nie mam! Niech
by dał ci klub mieszkanie...

Ojciec nie dbał o żadne profity, to je-
go nie najsilniejszy atut. Najchętniej
wówczas wymykał się na trening. W
drzwiach mawiał: — Masz dziecko.

Matka prychnęła: — dziecko?

Ladne dziecko, mówili kibice, sąsie-
dzi i nieliczni goście, których nie było
gdzie posadzić; ładne, a przy tym is-
tyny ojciec... Jakby nie zauważano
wkładu matki, i jej naturalna pierś,
przede wszystkim pełna pierś. Najpierw
jedną, potem drugą. Moje łakome usta
przy tej brązowej sutce. Rozkosz o-
ciął się nasycenie. Później moje różowe po-
ślaki w zasypce. Ładne dziecko, mówi-
li przez rok, dwa; dziecko noszone na
rękach, wywołane na spacer w dużym
wiklinowym wózku, pieszczone, co ja-
kiś czas przewijane, kapane, stawiają-
ce pierwsze kroki, co bakałaje pod no-
sem, rozkapryszone, wrzeszczące po no-
cach i za dnia...

Na poddaszu latem było duszno i go-
rąco; zimą zaś chłodno, przejmująco

dającą w tabeli, mógłby przebiegać, co
jednak było niemożliwe, wbrew posą-
dzeniom matki, gdyż prał pieluchy a no-
ce spędzał wspólnie, gnieźdząc mnie pod
czas zim między dwoma rozgrzanymi cia-
łami, abym tylko nie nabawił się ja-
kieś przewlekłej choroby. Tej myśli
nie dopuszczali do siebie. Swoim kosz-
tem. I wyrzeczeniami. Dzięki Bogu, nie
chorowałem. Ani zimą, ani latem. Dla-
tego niejednokrotnie mama po obiedzie
prowadziła mnie na stadion, gdzie ta-
tus rozgrywał kolejny mecz.

To jednak nie wyglądało tak. Naj-
pierw szliśmy w zgodnym pochodzie,
który skandował jednobrzmiące okrzy-
ki, dźwięka klubowe barwy oraz trans-
parenty opiewające pasmo sukcesów
miejscowych pupilów. W pierwszym
szpalercie zawsze szła orkiestra wygry-
wająca skoczne melodie. I od razu
wszyscy, no, może niektórzy mieszkań-
cy wybiegali z domów, zostawiając tam
wszystko i porzucając wszystko w po-
łowie, i, tam, dokąd zmierzał kolorowy
pochód, tam także szliśmy, nie placąc
za wstęp, gdyż rodziny zawodników,
działaczy i organizatorów posiadały kar-
nety. Jeszcze widzę sylwetki poszcze-
gólnych piłkarzy i twarze przynależne
do ich nazwisk i przezwisk. Nie pamię-
tam jednak pełnego składu ówczesnej re-
prezentacji miejscowego klubu. Więc ka-
żdej niedzieli oszalałam na realność
widowiska, którego uczestnikiem
był mój ojciec. Kolory koszulek, Getry.
Początkowo szatnie, gdzie zawodnicy
się przebierali w kostiumy, mieściły się
poza obrębem stadionu, na sąsiednim
placu, obok tartaku. Drużyny, już w
barwnych kostiumach, przechodziły pe-
wien odcinek drogi, otoczone orszakiem
działaczy i kibiców, na środek murawy,
aby stanąć naprzeciw siebie i pozdro-
wić się wzajemnie gromkim okrzykiem.
Euforia widzów. Odgłosy jakiś bębnow,
trąbek, kołatek. Gospodarze miasta po-
zdrawiali kapitanów drużyn naręczami
kwiatów z honorowej trybuny, usytu-
owanej na wysokości środka boiska. Krót-
ka rozgrzewka. I gwizd sędziego głów-
nego. Ożywała płyta boiska. Jak mro-
wisko.

Pamiętnej niedzieli mecz nie zapowia-
dał niczego złego. Matka usadowiła się
w towarzystwie selekcjonera kadry na-
rodowej, który najwidoczniej w świe-
cie usiłował ojca pozyskać. Kibice krzy-
czeli wniebogłosy: — Kobus gola! Ko-

pasowała. Nie nadążała za biegiem sy-
tuacji. Porządkowi z opaskami na ręka-
wach także dawali się ponieść emocji i
tracili kontrolę nad sytuacją przed każ-
dym wznowieniem gry od środka boi-
ska. Często nie zauważali, jak grupy za-
gorzałych kibiców po uzyskaniu kolej-
nej bramki wbiegały na murawę i ob-
dzielali mojego ojca pocałunkami, śli-
niąc go nieprzyjemnie, o czym nie raz,
dwa wspominał, Kobus dyrgolwał ata-
kiem jak przystało na kapitana dru-
żyny.

Owego pamiętnego dnia do siedem-
dziesiątej piątej minuty wszystko szło
pomyślnie, być może aż nazbyt pomyśl-
nie. Jednakże rzeczywistość okazała się
bolesna, wręcz tragiczna. Przy wyniku
korzystnym dla miejscowej drużyny,
gdy środkowy napastnik ograł lekkimi
wznowami tułowia kolejno wszystkich ob-
rońców i, nie umieszczając piłki w siat-
ce wycofnął i omijał nacierającego nań
bramkarza, posyłając z bezpośredniej
bliskości silnym strzałem piłkę w lewy
róg bramki, został przezeń sfalutowany
na polu karnym tak dotkliwie, że upadł
i zwinął się w kłębek, nie mogąc
podnieść się o własnych siłach z mura-
wy boiska, mimo zapobiegliwych masa-
ży trenera. Głucha i pełna zrozumiale-
go oburzenia cisza zalegała zarówno na
płyce boiska, jak i na trybunach, wiesz-
cząc niepowetowaną stratę wyeliminowa-
nia Kobusa. Na razie do końca meczu.
Kto mógł wiedzieć, że stanie się inaczej.
Kobusa wyniesiono na rękach kolegów
do karetki pogotowia, która na sygnale
odjechała ze stadionu. Selekcjoner, któ-
ry ojciec zamierzał wystawić na pozycji
środkowego napastnika w najbliższym
towarzyskim spotkaniu międzypaństwo-
wym, podbiegł do trenera dowiedzieć
się o stan zdrowia kontuzjowanego. Dłu-
go nie wznowiano gry. W powietrze
wylatywały jak pociski z moździerzy pu-
ste butelki po alkoholu. Być może do-
szłoby do samosądu na osobie bramka-
rza drużyny gości, gdyby nie interwe-
niowała dość stanowczo milicja. Matka,
przygryzając do krwi wargi, nie czeka-
ła aż selekcjoner wróci, wyprowadziła
mnie do bramy stadionu, skąd samocho-
dem przypadkowego kibica pojechał-
my do szpitala.

Ojciec leżał na chirurgii urazowej. Ko-
rytarze tu były wąskie i białe, jakby
zagięte. Uszytych chorzy siedzieli
pod ścianami albo leżeli na salach
umocowani do wyciągów. Kobus na-

MASOWANIE

Kiedy mężczyzna nie może zadowolić kobiety hastini (typ sionicy), powinien uciec się do odpowiednich środków, aby ją podniecić. Zaczyna od masowania joni palcami lub ręką i przystępuje do zespoleń dopiero wówczas, kiedy ona już doznała rozkoszy. (...)

Opinie teologów. Tutaj, jak i w całym zbiorze sutry, obrano sobie za wyraźny cel zadowolenie kobiety niezależnie nawet od zapłodnienia czy zamiaru powiększenia wzajemnej miłości. Jak zauważono we wcześniejszych przypisach, te ostatnie dwa cele mogą, w oczach cytowanych już teologów, usprawiedliwić masowanie zalecane przez indyjskiego autora. Wynika to zresztą implikite z poglądu na małżeństwo, wyłożonego w pierwszym akapicie artykułu 920 **TEOLOGII MORALNEJ** ojca Gury.

Art. 920 — Według opinii bardzo powszechnej i bardzo prawdopodobnej nie popełnia grzechu ciężkiego ani nawet lekkiego żona podniecająca się przez masowanie w celu wydania nasienia tuż po akcie, w którym u męża nastąpił wytrysk:

1° Ponieważ nasienie to jest przeznaczone do spełnienia aktu małżeńskiego, by małżonkowie szybko stali się jednym ciałem, a więc podobnie jak mąż może przygotowywać się do aktu przez dotykanie się, żona może również zakończyć ten akt przez dotykanie siebie.

2° Ponieważ, jeśli kobiety po takim podnieceniu byłyby zobowiązane do hamowania swych naturalnych ruchów, ryzykowałyby popełnienie grzechu ciężkiego.

Sanchez mówi: Mężowi powolnemu w wydzielaniu nasienia radzi się, żeby przed aktem małżeńskim podniecił siebie przez dotyk, by móc w czasie samego aktu wyrzucić nasienie.

Dotykanie siebie samego, mające na celu rozkosz pod nieobecność drugiego małżonka, według opinii wielu stanowi grzech ciężki, ponieważ małżonek nie ma prawa posługiwać się własnym ciałem dla osiągnięcia rozkoszy, lecz jedynie dla spełnienia aktu małżeńskiego. Święty **Alfonso** uważa też opinię za najbardziej prawdopodobną i taką, do której winno się stosować w praktyce.

W KAMASUTRZE nie mówi się o drażnieniu własnych organów piciowych. Lekkość obyczajów sprawiała, że należało to do rzadkości w Indiach. Wyjątek stanowiły osoby, które złożyły ślub czystości. Ale ponieważ kazuiści indyjscy byli zdania, że te ostatnie nie są zdolne do jakiegokolwiek powściągliwości, drażnienie własnych narządów musieli uważać za rzecz mało ważną.

Opinie medyków — **Ambroise Paré**. W swym traktacie o prokreacji (1573) **Ambroise Paré** doradza mężowi przysposobić żonę, aby ich nasienia mogły się spotkać. Mężczyzna leżąc ze swoją towarzyszką, powinien ją pieścić, głaskać, karesować i podniecać, jeśli się przekonał, że jest ona niewrażliwa na bodźce: a przeto kultywator niech nie wychodzi na pole natury ludzkiej nierozważnie, nie wykonawszy najpierw zabiegów po to, by kobieta stała się podekscytowana tak, iżby zapłonęła żądzą do mężczyzny i miała ochotę na połączenie się i poczęcie małego stworzenia bożego, i żeby dwa nasienia mogły się spotkać razem, gdyż żadna kobieta nie jest tak skora w tej grze jak mężczyzna.

Doktor Jules Guyot cytując i popiera pogląd **Ambroise Paré**; **Paul Garnier** w swym dziele **O ONANIZMIE (DE L'ONANISME)** zwraca uwagę: Z małymi wyjątkami pobudzenie u kobiety nie następuje ucale spontanicznie, podczas kiedy u mężczyzny jest wynikiem naprężenia organów; doświadcza tego ona dopiero przez kontakt z nim, kiedy on ten stan u niej wywołuje za pośrednictwem pieścici. Stąd konieczność prelude, przy zachowaniu jednakże tej reguły: organy rodne jednej płci powinny przyjmować naturalne działanie organów rodnych drugiej płci, z wyłączeniem wszystkiego innego kontaktu czy podniecia; pieścici małżonków przed i po stosunku nie powinny obejmować tych organów. Przeciwnie praktyki prowadzą do onanizmu obojga, który dla kobiety ma konsekwencje najbardziej opłakane; pogorszenie się i utrata zdrowia. Onanizm we dwoje kończy się na ogół onanizmem w pojedynkę, a każdy z tych onanizmów rodzi często histerię bądź nabrzmienie i następnie hipertrofię gruczołów pochwy, bądź też wydłużenie szyjki macicy, rozrost tektaczki, która wymaga wycięcia, bądź też raka macicy. Największą szkodą jest nimfomania, a najmniejszą utrata głosu.

APADRAWJA

Mężczyzna może również dla zaspokojenia kobiety — sionicy stosować apadrawję, czyli używać przedmiotów, które, nałożone na lingę, zwiększają jej długość lub grubość tak, żeby odpowiadała wymiarom joni.

Babrawja jest zdaniem, że przedmioty te powinny być ze złota, srebra, miedzi, żelaza, kości sionowej, rogu bawołu, drewna różnego rodzaju, skóry, delikatne, czyste, powodujące erekcję i dobrze dostosowane do swego celu.

Watsjajana zdaje się w tym względzie na gust każdego.

A oto różne apadrawja.

1° Pierścienie sięgające poniżej żołądki lingi; jego powierzchnia zewnętrzna powinna być chropowata i pokryta małymi wypustkami, półkolistymi lub gałkowatymi, aby powstał rodzaj nieszkodliwego gładzika do mięskiego pocierania.

2° Para złożona z dwu pierścieni.

3° Bransoletka wykonana z wielu pierścieni, pokrywających całą długość lingi.

4° Spirale otrzymane się, owijając lingę drutem, np. z mosiądzu, którego zwoje są ułożone bardzo blisko siebie.

5° Jolaka — tuba metalowa otwarta z obu końców; na zewnątrz jest chropawa i pokryta półkolistymi wypustkami, gładkimi w dotyku; ma ona rozmiar joni; przywiązuje się ją do paska.

6° Gdy brak jolaki, tubę wykonuje się z drewna jabolni, z tykwy lub z trzciny cukrowej skroplonej oliwą i olejkami; przywiązuje się ją do paska sznurkami; albo też bierze się i łączy mnóstwo małych pierścieni z gładkiego drewna. Tubami można się posługiwać bądź to nakładając je na lingę, bądź też samymi w zastępstwie.

Na południu Indii jest w zwyczajnym robieniu w skórce lingi otworu, jaki wykonuje się w uszach do zawieszania kolczyków. Do otworu tego przy czepia się różne apadrawja, takie jakimi wymieniono wyżej albo też innych kształtów, nadających się do wywołania rozkoszy u kobiety.

Autor podaje wskazówki, jak powiększyć lingę na okres miesiąca, nacierając ją pewnymi

roślinami. Utrzymuje on, że w kraju drawidyjskim uzyskuje się trwałe powiększenie, przez nacieranie lingi początkowo włoskami owadów żyjących na drzewach (gąsienice), następnie — przez okres dwu miesięcy oliwą, a później ponownie włosami gąsienic i tak dalej.

Linga pęcznieje stopniowo; kiedy jest dostatecznie duża, mężczyzna łoży się na hamaku z przebitym otworem, przez który wystawia zwisającą lingę; na koniec, by złagodzić ból z powodu obrzku, stosuje chłodzące płyny do przemycania.

Maść wykonana z owocu *asteracantha longifolia* zwęza joni kobiety — sionicy na jedną noc. Inna maść zrobiona z owocu i soku wielu roślin rozszerza joni kobiety — gazeli. (...)

Sekret Poppei. Dziś na północy Indii kobiety używają środków ściągających, aby zmniejszyć joni. Powiadają, że niektóre w ten sposób odzyskują dziewictwo. Prostytutki, które nadużyły tych środków, zastraszają, że na ścianach pochwy **Doktor Debay** wymienia takie środki, które nie są niebezpieczne i są stosowane we Francji. Zacytujmy tylko sekret **Poppei** mający na celu, by stale uchodzić za dziewicę.

Umyć tę część wodą zaprawioną kilkoma kropkami alkoholu benzoesowego, wysuszyć następnie delikatną ściereczką i zapudrować krochmalem. Efekt jest bardzo widoczny.

reguły gry

P. E. Lamairesse

(4)



Rys. L.H.

Wrogowie męskości. Uniesienia lubieżnej wyobraźni i... sadny pociąg fizyczny są najwzięjszymi wrogami męskości. Człowiek rodu słucha głosu natury bez uciekania się do sztucznych podniecia i to nawet w interesie częstego spółkowania; jedynym bodźcem powinna być atrakcyjność partnera. Wszystko, co rozgrzewa krew, podnosi jej krążenie i powoduje jej napływ do mózgu, usposabia do oziębłości piciowej. Nadużywanie alko i jak i potraw podniecających niszczy także męskość. Natomiast zbyt często stosunki piciowe nie sprzyjają prokreacji.

Temat ten podejmuje szerzej uczony traktat doktora **Garniera** „Impotencja fizyczna i moralna mężczyzny i kobiety” („Impuissance physique et morale de l'homme et la femme”). Stamtąd pochodzi następująca aplikacja (zastosowane leczenie).

U młodego pacjenta członek był zakryty napletkiem i podczas erekcji miał wielkość piórka długiego na dwa cale; rozmiary całych narządów piciowych były także lilipucie.

Kauczukowy cylinder, kształtów i rozmiarów normalnego prącia, z otworem wewnątrz, którego średnica była proporcjonalna do członka w stanie erekcji, został przymocowany do wzdórka lonoowego rzemieniem opasującym lędźwie jak przy bandażowaniu korpusu. Elastyczność, pozwalająca ruchom cylindra przenosić się na więziona wewnątrz prącia, zapewniła pełny sukces. Wypróbując go w ten sposób i przestrzegając jednocześnie wzmacniających diety, po upływie dłuższego czasu, kiedy członek się powiększył, osobnik początkowo bez potencji mógł się oddać normalnemu spółkowaniu.

Żeby rozwinąć organ należy sprawić, by jego działanie stało się możliwe i częste. W tym celu Arabowie dostarczają swym dorastającym synom kobiet wąskich lub zdolnych ich rozbudzić.

Onanizm mechaniczny według doktora **Garniera**. Od najodleglejszych czasów starożytności kobiety Wschodu czyniły częsty użytek z fallusa lub innych przedmiotów, jak to zaświadcza ustęp z proroka **Ezechiela**.

U starożytnych fallus był czymś powszechnym, próby różnych modeli znalezione w ruinach **Pompei** i **Herkulanum** eksponuje się w muzeum w Neapolu.

Dziś wyrabia się je w Kantonie z mieszaniny gumowicy, gietki i zabarwione na czerwono. Publicznie sprzedaje się je w Tiencin, sprzedawane są również albumy przedstawiające nagie kobiety, które używają tych instrumentów przywiązanych do pięty. Prezentuje się je nawet w teatrach, aby pokazać młodym kobietom ich zastosowanie przeciw zapłodnieniu.

Sceny miłosne w literaturze pięknej

Fabrykuje się je w Paryżu jako doskonałą imitację z utwardzonego, różowego kauczuku. Sprzedawane są potajemnie pod adresami znanych dobrze zainteresowanych. Mogą się powiększać według uznania, a mleko lub inny płyn umieszczony wewnątrz, ocieplając się w czasie kontaktu z pochwą, wytryskuje i rozlewa się w odpowiednim momencie, by uczynić złudzenie bardziej pełnym.

Kulki japońskie, w użyciu także w Chinach i w serajach w Indiach, składają się z dwóch wydłużonych kulek jednakowej wielkości, zrobionych z cienkiej blachy mosiężnej. Jedna jest pusta, podczas gdy druga zawiera kulkę lub pewną ilość płynnej rtęci: wprowadzone do pochwy, przy czym kulka pusta jako pierwsza, powodują przy najmniejszym poruszeniu ud, bioder lub na wet w przypadku spontanicznej erekcji — lekki wstrząs sprawiający przyjemność kobietom przez rozkoszne laskotanie, które może przedłużyć się do woli. Wiadomo też, że zastosowanie maszyny do szycia jest prawdziwym onanizmem mechanicznym.

z którego nie mogą korzystać. Moje obumarcie membra zwiastowało haniebnie jak wczorajsza, zwiędła róża.

Tak dałem się nabrać twoim obietnicom, ty najgorsza i przynosząca mi wstyd części mego ciała. Oszukałaś swego pana, przez ciebie okazałem się bez broni, poniosłem sromotną klęskę. Dziewczyna nie dawała za wygraną, przytuliła się jeszcze mocniej, próbując ożywić membra swą delikatną ręką. Skoro zobaczyła, że żadną sztuką nie może go podnieść i że spoczywa ono nie zwracając na nią uwagi, rzekła: Dlaczego kpiśz sobie ze mnie? Kto niespełna rozumu kazał ci wbrew woli kłaść się ze mną do łóżka? Albo cię zaczarowała jakaś wiedza, albo też przyszedłeś wyczerpany miłością u innej.

Natychmiast wyskoczyła z łóżka w niedopiętej tunice, przy tym pokazała piękne, nagie nogi. Ponieważ nie chciała, by służące się domyśliły, że pozostała nietknięta, zażądała wody do umycia, by ukryć tę straszną hańbę.

AFRODYDZJAKI

Oto jak się przyrządza afrodydzaki, czyli środki zwiększające popęd piciowy:

1. Do osłodzonego mleka wrzucić bulwę ućcaty, trochę pieprzu chaba i lukrecji;
2. W osłodzonym mleku ugotować jadra kozia lub barana;
3. Sok z roślin: hedsarum gangeticum, kudzi i kszirka zmieszać z mlekiem;
4. Utluc nasioną długiego pieprzu, sanseviery rozburghiany oraz hedsarum gangeticum i rozmieszać w mleku;
5. Starożytni autorzy utrzymują, że mężczyzna będzie mógł zadowolić niezliczoną liczbę kobiet, jeśli wypije zgęszczony wywar przygotowany w następujący sposób: orzechy lub korzeń trapa bispinosa, toskański jaśmin i kszirakapali (odmiana cebuli) utłuc i wyspać do osłodzonego mleka z dodatkiem bawolego masła, a potem gotować na wolnym ogniu;
6. Mieszanina ryżu i jajek wróbla (jako ptaka bardzo kochliwego), gotowana w mleku z dodatkiem bawolego masła oraz miodu, pita w razie potrzeby, wywołuje ta i sam skutek;
7. Lupyń owoców sezamu namoczone w rozbitych jajkach wróbla i ugotowane w osłodzonym mleku z dodatkiem bawolego masła, orzechów trapa bispinosa oraz pszennej maki i grochu dają mężczyźnie wigor, pozwalający zaspokoić wiele kobiet;
8. Bawole masło, miód, cukier i lukrecja w różnych częściach, zmieszane z sokiem z kopru i mlekiem to święty napój, podniecający seksualnie, wzmagający siły żywotne i słodki w smaku jak nektar.

Następujący aforyzm podaje ogólną zasadę w tej materii: „O środkach, które potęgają wigor i popęd piciowy należy się uczyć od medycyny, z ksiąg Wedy, z agii i od zaufanych krewnych.

Nie należy próbować żadnego środka wątpliwego czy szkodliwego dla zdrowia, czy też wymagającego śmierci istoty żywej, czy wreszcie zetknięcia się z przedmiotami nieczystymi. Należy używać tylko tych, które są zdrowe, uświęcone zwyczajem i uznane przez braminów”.

(...)

Ludzie Wschodu wszystkich czasów interesowali się środkami podniecającymi: autorzy dzielą je na dwie klasy: naturalne, czyli mechaniczne, jak np. biczowanie oraz sztuczne, czyli medyczne.

Wśród pierwszej klasy wymienia się owady, które stosują plemiona dzikie. Cytowany też był przykład młodej żony starego bramina, która chciała spowodować, by jeszcze raz ukąsiła go ona.

Owidiusz (ARS AMATORIA) doradza ostrożność w stosowaniu afrodydzaków: *Niektórzy zalecają używanie szkodliwych dla zdrowia roślin. moim zdaniem są to trucizny i stosowanie ich zabrania stanowczo Wenus, którą nie lubi, by zmuszać kogoś do ten sposób do rozkoszy.*

Nie zabraniam wam jednak jeść całego czosnku z Megary, pobudzającego warzyw ogrodowych, jaj, miodu z gór Hymety czy nasion pinii. Ale dla czego, boska Erato, mamy się zajmować środkami, które należą do sztuki Eskulapa?

Petroniusz występuje z całą mocą przeciw trucicielom, które stosując środki odurzające, rościły sobie prawo do rozbudzania żądz cielesnej.

W końcu się szaleństwa **Kallip** spowodowane środkiem podniecającym (hippoman), który mu podał Cezonia. **Euzebiusz** cytując szaleństwo **Gallusa** pod wpływem środków zwiększających popęd piciowy. **Lukullus**, legendarny smakosz i **Lukrecjusz**, autor poematu „O naturze wszechrzeczy” eli umrzeć w czasie napadu szału spowodowanego przez napoje miłosne.

Jak **Owidiusz** odsyła do medyków; od nich bierzemy zaledwie kilka wskazówek. Najbardziej znane afrodyzja:

Biczowanie, chłosta pokrywami, skaryfikacja (nakłuwanie skóry), bodźce elektryczne, kąpiele stymulujące organy piciowe: w lodowatej wodzie, w solance i wodzie przepojonej aromatami oraz fosfor.

W świecie roślinnym: satureja, pieprz miętowy, rzeżucha ogrodowa, seler, karczoch i szparaga, cyneraria syberyjska, kuklik, gałka muszkatołowa, pieprz, goździk i wszystkie wonne przyprawy, wanilia i kakao, żeh-seń, oliwki, trufia aromatyczna, masłak, borowik i inne rodzaje grzybów, szafran.

W świecie zwierzęcym: skorupiaki — jak homary, raki, mięczaki, ostrygi i dieta rybna w ogólności.

Ambra, cybeta, bóbr, piżmowiec, omomilki (chrząszcze): te ostatnie jak i fosfor są prawie zawsze śmierdzące.

Ambroise Paré wymienia mężczyzny, który zmarł od przepięzmy i krwotoku z cewki moczowej spowodowanych przez napój sporządzony z omomilków, który mu kazała wypić jego kochanka kurtyzana.

Zdaniem doktora **Garniera** w rozbudzaniu miłości nie może dorównać doświadczeniu prostytutki obytej z praktykami swego zawodu.

CDN



Z POKOLENIA „ARSENALU”

Był wojewódzkim konserwatorem zabytków, dyrektorem muzeum, prezesem ZPAP, redaktorem graficznym „Nadodrze”. Pełnił wiele funkcji społecznych. Pisał artykuły popularnonaukowe z zakresu zabytkoznawstwa, historii sztuki i krytyki artystycznej. Uprawiał malarstwo, grafikę, rysunek, scenografię.

Klem Felchnerowski artystyczną edukację rozpoczął w roku 1945 jako wolny słuchacz Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu — mieście rodzinnym. W latach 1948-1952 studiował malarstwo i rysunek pod kierunkiem prof. Stanisława Borysowskiego, Bronisława Jamontta i Tymona Niesiołowskiego, równocześnie u prof. Jerzego Remera uczył się konserwatorstwa i zabytkoznawstwa. Od roku 1949, Felchnerowski zaczął poznawać tajniki technik graficznych w pracowni prof. Jerzego Hoppena.

Po uzyskaniu dyplomów i zaliczeniu trzech lat grafiki — w roku 1953 artysta przeniósł się na stałe do Zielonej Góry, kontynuując — już samodzielnie — drogę twórczą.

Tej „swoistej ekspansji poszukiwań artystycznych” towarzyszyła głośna „Ogólnopolska Wystawa Młodej Plastyki”, otwarta w lipcu 1955 roku w stołecznym „Arsenale”, zorganizowana z okazji V Światowego Festiwalu Młodych i Studentów w Warszawie. Udział w „Arsenale” był dla większości młodych absolwentów uczelni artystycznych z całej Polski — w tym i dla Felchnerowskiego — pierwszym i najważniejszym wydarzeniem w ich życiu artystycznym lat pięćdziesiątych.

Na wystawie, gdzie najbardziej ujął się postawa ekspresjonistyczna, artysta pokazał m.in. drzeworyty „Nigdy więcej I” i „Nigdy więcej II”, które tematycznie nawiązywały do hasła „Przeciw wojnie — przeciw faszyzmowi”. 22 marca 1955 r. Felchnerowski naszkicował projekt tych dwóch grafik — naszytych pierwotnie tytuły: „Wojna” i „Precz z fabrykami śmierci”.

Do „Ogólnopolskiej Wystawy Młodej Plastyki” zostały dopuszczone jeszcze Felchnerowskie: w dziale grafiki — dwie monotypy z cyklu „Kobieta”, drzeworyt „W kawiarni” oraz w dziale malarstwa — akwarela „Browar zielonogórski”.

W roku 1961, w osiemnastą rocznicę powstania w Getcie Warszawskim, Centralne Biuro Wystaw Artystycznych przygotowało do kilku miast europejskich wystawę prac artystów polskich, wśród nich było wielu „arsenalowców”, zatytułowaną „Warszawskie Getto”.

Pierwsza ekspozycja, nad którą patronat objął Holenderski Komitet Oświęcimski, odbyła się w położonym we wschodniej dzielnicy Amsterdamu — Żydowskim Muzeum Historycznym.

Na wystawie tej Klem Felchnerowski pokazał drzeworyty z cyklu „Nigdy więcej”, które znalazły się wśród obrazów i grafik Xawerego Dunikowskiego, Jana Dziędziory, Marii Hiszpańskiej-Neumann, Felicjana Kowarskiego, Zdzisława Lachura, Marka Oberländera, ko-

misarza wystawy), Kazimierza Osmólskiego, Jacka Sienickiego, Jadwigi Simon-Pietkiewicz i Bohdana Urbanowicza.

Od października tego samego roku, wystawę „Warszawskie Getto” przy współudziale Szwedzkiego Komitetu Oświęcimskiego i Towarzystwa Szwedzko-Polskiego udostępniło mieszkancom Sztokholmu. W salach Żydowskiego Instytutu Kultury — oprócz artystów biorących udział w Holandii — eksponowano dzieła Rafała Chwolesy, Stefania Dretler-Flin, Aleksandra Kornijasa, Mieczysława Kościelniaka, Romana Kramsztyka, Geli Seksztajn, Joasza Sterna, Stefana Wegnera i Andrzeja Wróblewskiego.

artystów polskich, swoje prace podarowali twórcy z Danii, Holandii, NRD, RFN i Węgier, a więc z państw których ludność więziono w czasie wojny w Neuengamme. Dochód z wystawy przeznaczono na druk księgi pamiątkowej ofiar obozu: miała ona obejmować spis nazwisk 56000 osób, w tym 7000 obywateli polskich.

Cztery lata później, w 1970 r., cykl „Nigdy więcej” zakwalifikowany został na wystawę pt. „Wojna i pokój w twórczości plastycznej” — zorganizowaną przez Muzeum Historii Ruchu Robotniczego i Muzeum Narodowe w Poznaniu.

Wybrane przez organizatorów prace podzielone zostały na cztery grupy tematyczne: wybuch bomby atomowej w Hiroszimie i Nagasaki, wojna w Wietnamie, wizja świata w pokoju. Grafiki Felchnerowskiego eksponowano w



„Nigdy więcej II” — Klem Felchnerowski

Fot.: MAREK WOZNIAK

Do obu wystaw przygotowany został katalog (w języku holenderskim i szwedzkim), jednocześnie po rozłożeniu — plakat przedstawiający kilkakrotnie powiększony drzeworyt Felchnerowskiego „Nigdy więcej II”. Mimo powiększenia grafika nie straciła z agresywności wyrazu. Brutalne potrącenie formy, podporządkowane zostało treści drzeworytu; artysta skonstruował fragmenty ludzkich kończyn, rozrzuconych w martwej przestrzeni ze stojącą w dali rodziną.

Wystawę „Warszawskie Getto” pokazano jeszcze w muzeach w Malmö, Oslo i Londynie.

Cykl „Nigdy więcej” Klem Felchnerowski zaprezentował w Zielonej Górze po raz pierwszy dopiero w roku 1964, na swojej indywidualnej wystawie zatytułowanej „Wspomnienia”, zorganizowanej w Muzeum Okręgowym. Znalazły się na niej grafiki i rysunki nawiązujące do tematyki do okupacji w Polsce: drzeworyt „Wędrówka ludów”, rysunki — „Wojna”, „Oprawca”, „Ranny partyzant”, „Oświęcim”, „Opuszczenie”. Wystawa ta pokazana została później w kilku miastach i wsiach województwa zielonogórskiego.

Z inicjatywy prof. Stanisława Lorenta (ówczesnego dyrektora Muzeum Narodowego w Warszawie), Felchnerowski zaproszony został w roku 1966 przez hamburskie „Kolo Przyjaciół” (Freudkreisl) do wzięcia udziału w międzynarodowej wystawie sztuki o martyrologii ofiar hitlerizmu w obozach koncentracyjnych i gettach. Organizatorom, obok

najliczniejszej grupie „przedstawiającej tragedię ostatniej wojny”, obok dzieł Mieczysława Bermiana, Jacka Gaj, Bronisława W. Linkego, Leszka Róży oraz znanych już wcześniej nazwisk z „Arsenalu” i „Warszawskiego Getta”.

W roku 1972 wystawę udostępniło muzeum miejskie Berlina, Cottbusu i Frankfurtu nad Odrą.

Już po śmierci artysty w 1980 roku, grafiki „Nigdy więcej” pokazane zostały dwukrotnie: w r. 1982 w czasie prezentacji współczesnego portretu polskiego (1918-1981), pt. „Człowiek — emocje”, w Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze w sali zatytułowanej „Pokolenie Arsenalu” (z „Napiętnowanymi” M. Oberländera), po raz drugi na wystawie pt. „Życie ludzkie — los Ziemi” w warszawskiej „Zachęcie”; zorganizowanej z okazji Kongresu Intelektualistów w Obronie Pokojowej Przyszłości Świata. W tej panoramie najwybitniejszych artystów polskich, grafiki K. Felchnerowskiego wisiały w jednej sali z pracami Tadeusza Kulisiwicza i Józefa Szajny — ukazującymi cierpienia i zniszczenia wojenne.

ARMAND FELCHNEROWSKI

Cykl „Nigdy więcej” znajduje się m. in. w zbiorach: Muzeum Ziemi Lubuskiej, Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej w Zielonej Górze, Muzeum Historii i Ruchu Robotniczego w Poznaniu, Ministerstwa Kultury i Sztuki oraz w zbiorach prywatnych.



Niepodległość i socjalizm

Genezy napisania przez Stanisława Ciesielskiego książki pod wyżej podanym tytułem, z uwzględnieniem ważnego podtytułu: „Tradycja w myśli politycznej polskiego ruchu socjalistycznego w latach 1939-1948” — dopatrywać się można w serii wydawniczej zainicjowanej przez prof. Henryka Zielińskiego, pt. „Polska myśl polityczna XIX i XX wieku”. Mimo wydanych w tej serii pięciu tomów, w latach 1975-1980, problematyka myśli politycznej polskiego ruchu socjalistycznego od 1939 do 1948 r. wciąż oczekiwała na swojego autora. Stał się nim Stanisław Ciesielski, podejmując wcale nie łatwy temat zanalizowania ewolucji myśli politycznej PPS-u.

Książka, będąca zmienioną wersją rozprawy doktorskiej, nader starannie wydana przez Państwowy Instytut Wydawniczy, składa się z wstępu, trzech rozdziałów i zakończenia. Niezmiernie ważny i wiele czytelnikowi obiecujący wstęp w swej podstawowej treści zawiera poglądy autora na właściwe rozumienie myśli politycznej, włączenie z próbą jej zdefiniowania oraz związków tej myśli z tradycją wpływającą na powstanie i kształt określonych koncepcji politycznych.

Tradycja rozumiana jest jako „szczepliwy element świadomości” historycznej, która „może być zasadniczym czynnikiem kształtującym postawę i zachowania społeczne, w tym także motorycznym komponentem świadomości politycznej i postaw politycznych” (s. 9-10).

Jeśli do tych niezmiennie istotnych sformułowań dodamy metodologiczną dyrektywę, że „myśl polityczna musi być badana nie tylko na poziomie faktograficznym, ale i ujętym” i że „przed badaczem staje zadanie zrekonstruowania określonych poglądów i udzielenie odpowiedzi na pytanie, dlaczego się one pojawiły i dlaczego przetrwały u daną formę”, stają się zrozumiałe nadzieje czytelnika, że na te podstawowe problemy pozostałe rozdziały dadzą wyczerpującą odpowiedź. Jak jest rzeczywistość?

Rozdział I omawia tradycje w myśli politycznej WRN (1939-1944). „Wolność — Równość — Niepodległość” powołana do życia 19 listopada 1939 r. w miejsce zawieszonych w działalności PPS, miała być kontynuacją działalności owej poprzedniczki. Uwzględniając zmienione przez klęskę wrześniową warunki pracy, działacze WRN-u szukali kontaktów i współpracy z ugrupowaniami, które jako naczelne swe zadanie wysuwały walkę o odbudowanie niepodległości Polski. Wśród tych ugrupowań znalazł się Związek Walki Zbrojnej, następnie AK i inni przedstawiciele „obozu londyńskiego” w kraju i za granicą. WRN pragnąc ugryźć swe wpływy wśród polskiego społeczeństwa sięgnęła do bardzo odległej tradycji narodowej, uważając się za kontynuatorkę tych walk narodo-wo-wyzwoleńczych, które od insurekcji Kościuszkowskiej, poprzez lata 1830/31, 1863, 1905, a na listopadowych walkach Peowiaków i Milicji Ludowych skończywszy, uzasadniać miały postawę i pozycję WRN-u. W obszernym rozdziale (s. 19-112) S. Ciesielski w oparciu o szeroką bazę źródłową dokładnie omawia losy działalności i wpływów WRN-u. Ani razu nie pada pod adresem tej organizacji słowa potępienia, którymi tak obficie w pewnym okresie naszej najnowszej historii szafowano. Ostateczny sąd tej organizacji autor pozostawia czytelnikowi, swoją rolę ograniczając do obiektywnego, zgodnego z wymową źródeł, przedstawienia jej dzieł.

Rozdział II objętościowo nieco mniejszy (s. 113-178) poświęca S. Ciesielski lewicy socjalistycznej wobec przeszłości (1939-1944). Już w latach trzydziestych z członków PPS wyodrębniło się skrzydło lewicowe, na którego czele stanęli A. Próchnik, B. Drobner, N. Barlicki i S. Dubois, opowiadające się za współpracą z komunistami i za rewolucyjną drogą do socjalizmu. Po klęsce wrześniowej ruch ten zaczął się odbudowywać, poprzez różne formy publicystycznej działalności na łamach takich czasopism jak „Gwardia” (grupa Raabego), „Barykady Wolności” (S. Chudoba, S. Dubois i inni), gdzie poddawano szczególnie ostrej krytyce przeszłość ruchu socjalistycznego. 1 września 1941 r. powołano do życia nową organizację pod nazwą „Polscy Socjaliści”, której przewodniczącym Komitetu Centralnego został wybrany Adam Próchnik, a sekretarzem i redaktorem „Barykady Wolności” — Stanisław Chudoba. Polscy Socjaliści zdecydowanie odcinali się w swej działalności od ugrupowań związanych z niedobitkami sanacji, a Armie Krajowej określali jako sanacyjną armię. Próby zjednoczenia Polskich Socjalistów z WRN nie przyniosły rezultatu. Po różnego rodzaju trudnościach zachowy organizacyjnej 11 kwiet-

nia 1943 r. powstała Robotnicza Partia Polskich Socjalistów uznająca się za jedną kontynuatorkę rewolucyjnych tradycji polskiego ruchu socjalistycznego. Powstanie RPPS nie oznaczało ostatecznego uregulowania zaistniałych problemów w polskim ruchu socjalistycznym. Działala już od 1942 r. PPR, a próby połączenia się z RPPS nie przyniosły pozytywnych rezultatów. Wreszcie od 23 czerwca 1944 r. RPPS przyjęła „stare tradycje” miano Polskiej Partii Socjalistycznej, z dodatkiem „lewicy”. Wszystkie wymienione grupy niezmiennie odwoływały się do tradycji sięgającej niekiedy odległych lat. W rezultacie wciąż komplikującego się położenia wewnętrznego na ziemiach polskich PPS-lewica uległa po powstaniu warszawskim rozwiązaniu, a jej członkowie wstąpili do odbudowywanej Polskiej Partii Socjalistycznej.

Rozdział III, najobszerniejszy (s. 179-302), poświęcony został tradycji w myśli politycznej PPS (1944-1948). Ostatnie cztery lata odrodzonej PPS, to lata poszukiwań właściwszej drogi rozwojowej partii, ugruntowania sobie miejsca w nowych warunkach kończącej się i zakończonych w początkach maja 1945 r. wojny. Wobec stabilizowania się sytuacji w kraju i wysuwającej się na czoło działalności PPR, w gronie działaczy odrodzonej PPS, obok tendencji utrzymania przodującej roli w ruchu robotniczym, zaczęły objawiać się idee likwidacji dotychczasowego rozbicia ruchu robotniczego i połączenia się z PPR. Na tym tle ścierały się ze sobą różne opinie, tym bardziej, że myśl zjednoczenia nie została zaaprobowana przez ogół członków. Przeszkodą w zjednoczeniu były też niekiedy niewłaściwe formy działania PPR, „Operowano szarżami (pod adresem przeszłości PPS-W. K.) opdytymi bądź na schematycznych, uproszczonych, a często wręcz zniekształconych, zafalszowanych pragmatyzmem tezach, dość dowolnie wybranych z dorobku marksistów lub im przypisywanych, bądź też na zgola sfabrykowanych przesłankach przypisywanych ludzom działania i poglądów dalekie od rzeczywistości. Wielu argumentów używano nie z racji ich prawdziwości, lecz ze względu na ich nośność polityczną czy ideologiczną” (s. 299-300). Ostatecznie 15 grudnia 1948 r. Polska Partia Socjalistyczna zakończyła swą 56-letnią działalność. „Zjednoczenie dokonano się na gruncie i wedle kryteriów obowiązujących wówczas w PPR i w międzynarodowym ruchu komunistycznym” (s. 301).

Dzieje tradycji w polskim ruchu socjalistycznym lat 1939-1948 podsumowuje autor w zakończeniu, gdzie czytamy m.in. w odniesieniu do znaczenia tradycji: „W miarę organizacyjnego wyodrębniania się lewicy socjalistycznej, a następnie kształtowania się powojennej PPS zmieniał się stosunek socjalistów do przeszłości narodowej, a przede wszystkim do przeszłości własnego ruchu. Zmieniała się jego funkcja, zmieniał się uklad poszczególnych elementów tradycji, hierarchia ich ważności. W grudniu 1948 r. zakończyła działalność inna Partia niż ta, która rozdziła się w 1932 r. ale myśliaby się ten, kto przeczytałby istnienie swoistej więzi między tymi „niepokornymi” z końca XIX w. i tymi, którzy zapisywali swym trudem ostatnie rozdziały historii PPS”. (s. 311).

Wszystko co wyżej napisałem nie rości sobie pretensji do streszczenia poważnego dzieła o tradycjach w myśli politycznej polskiego ruchu socjalistycznego w latach 1939-1948. Miało jedynie na celu pewne zbliżenie czytelnikowi wyczerpujących rozważań S. Ciesielskiego. Czy poważny wysiłek autora „Niepodległość i socjalizm” należy skwitować stwierdzeniem, że jest to praca historyczna znacznie odbiegająca od tego wszystkiego, do czego próbowali nas przyzwyczaić politolodzy w swych drętowych, często oderwanych od realiów historycznych, rozprawach. Praca S. Ciesielskiego to dobra rozprawa historyczna o działaniu tradycji w myśli politycznej omawianego ruchu socjalistycznego. Czy jednak autor wypełnił do końca swe, pewnego rodzaju zobowiązanie, wyrażone we wstępie? Czy odpowiedział na podstawowe pytanie w badaniach historycznych: dlaczego? Dlaczego mieliśmy do czynienia z tak złożoną i skomplikowaną sytuacją w polskim ruchu socjalistycznym lat 1939-1948? Nadermiennie szukam w pracy odpowiedzi na to pytanie. W trzech rozdziałach mamy bardzo zgrabną narrację o faktach, które miały miejsce, nie ma natomiast wyjaśnienia przyczynowo-skutkowego zaistnienia tych faktów. Mimo wszystko autor nie ustrzegł się w znacznym stopniu tradycyjnego, tzn. odbiegającego nieco od wymogów współczesnej metodologii, ujęcia rozpatrywanych problemów. Przyznam się, że oczekiwałem na czwarty rozdział, w którym znalazłby się wyczerpujące konkluzje o przyczynach złożeń omawianego ruchu. Zaskoczenia moje w niczym jednak nie podważają wartości zawartych w omawianej rozprawie. Pozostawia ona jak najkorzystniejsze wrażenie, stanowiąc tak bardzo potrzebne w dziejach polskiej myśli politycznej zamknięcie historii Polskiej Partii Socjalistycznej.

WŁADYSŁAW KORCZ

Stanisław Ciesielski: Niepodległość i socjalizm. Tradycja w myśli politycznej polskiego ruchu socjalistycznego w latach 1939-1948, Warszawa 1986 PIW, s. 327, cena 390,-zł.

Przyprawianie... CEBULĄ

Trzynastą już wystawą w Galerii „Krzywe Zwierciadło” w zielonogórskim Klubie MPiK była ekspozycja rysunków satyrycznych Henryka Cebuli, zdobywcy I nagrody w szesnastym konkursie pn. „Prasa” (czytelnicy zapewne pamiętają reprodukcję z „Nadodrze” rysunek, który przedstawiał rękę trzymającą mikrofon zwrócony do niewidocznego rozmówcy. Przewód podłączony był do krwioobiegu reportera...).

Długobrody, związany z Rzeszowszczyzną, satyryk ukończył w 1981 r. u prof. Bandury wydział rzeźby w ASP w Krakowie. Zaprezentował dwie prace dyplomowe — pismną o wrażliwości dziecka oraz stricte rzeźbiarską: zestaw kilkunastu układów przestrzennych i plakat w brzoju ukazujących zabawy dzieci. Rozpoczęta na trzecim roku studiów przygoda rzeźbiarska z dużymi formami (współpraca z prof. Potęgą przy realizacji większych prac rzeźbiarskich, m. in. pomnika w Tychach) — zakończyła

się tuż po studiach z prozaicznego braku pracowni. Do tej pory H. Cebula rzeźbi niewiele. Pewną namiastką uprawiania tej sztuki jest marzenie o wystawie sprzętów i rzeczy bezużytecznych, specjalnie przygotowanych (przypomina to zabawy dadaistów — czajnik, z którego nie można nalać wody).

Obecnie H. Cebula prowadzi zajęcia z ceramiki w Liceum Plastycznym w Jarosławiu, którego jest absolwentem. Bierze też udział w wielu konkursach i wystawach rysunków satyrycznych. Ma swoją stałą rubrykę w „Życiu Przemyskim”, współpracuje też z rzeszowskimi „Profilami”. Jak twierdzi, jego „z życia wzięte tematy” potrafią ułudzić: satyra jest bowiem przyprawianiem owego życia, dodawaniem mu specyficznego smaku, zapachu.

Wystawa — kilkadziesiąt rysunków — prezentuje kilka przewodnich motywów satyrycznej twórczości Cebuli. Tematykę szkolną odnajdujemy w cyklu „Prace ręczne”, gdzie takie zwroty, jak „ciosanie kółków na głowie”, „wiercenie (nauczycielowi) dziury w brzuchu”, „wycinanie numerów”, potraktowane są dosłownie, a rysunki o ciętej krwi, maltretowanego profesora. Wielokrotnie pojawiającym się elementem jest kula — w postaci

piłki futbolowej, ogromnego tworu pchanego pod górę przez współczesnego Syzyfa, kuli ziemskiej opasanej przez monstrualną kolejkę do sklepu. Uwagę zwracają rysunki podpatrujące wiele groteskowych sytuacji codziennych: spadające w lesie szyszki są „zdezonizowanymi” dynitami; Wenus z Milo obarczona siatkami pełnymi zakupów, bezskutecznie walająca takśówkę, nie jest już piękna, powabna — raczej żalonna; lekarz z niewinną miną odnajduje dwa znaczenia czasownika „przeszkrobać”. Zastanawiają też rysunki „wiejskie” (efekt trzydniowego mieszkania w Wólce Ogryzkowej pod Jarosławiem) oraz przemysłowy, interesujący tryptyk o walce toczącej przez ludzkie ciało z kręgosłupem... ideologicznym, w myśl zasady: serce chce, a umysł nie pozwala.

Rysunki Henryka Cebuli nie składają do placu (!), przeciwnie — do śmiechu, często — ironicznego lub kpiącego pokiwania głową nad przypadłociami bosonogi, rozwichrzonego człowieczka-bohatera.

W wizji Cebuli z codziennego życia wydobytę zostaje wszystko to, co jest dosłowne, a zarazem ma w sobie duży ładunek nonsensu. Zaprawione surrealistycznym humorem — daje potrawę interesującą, o dziwo — codzienną „metaforyzowaną” wielokrotnie.

MALGORZATA KOWALSKA-MASŁOWSKA

Przed wielkim finałem

Ruszyła maszyna konkursu Miss Polonia '87. W lutym br. zostaną wybrane piękności piętnastu regionów kraju. Po znanych również miss Ziemi Lubuskiej. Niedawno w siedzibie Estrady Ziemi Lubuskiej odbyły się przy drzwiach zamkniętych eliminacje do konkursu o miasto najpiękniejszej Lubuszanek. W konkursowych szrankach stanęło dwanaście dziewcząt z Gorzowa, Zielonej Góry oraz z miast i wsi obydwu województw. Z tej grupy wybrano ośmiu, które zaprezentują się zielonogórskiej publiczności.

O poprzednich edycjach konkursu i o samej idei takiego konkursu mówiono i pisało różnie. Nie brakowało skandali i bulwersujących wyznań uczestniczek. Już sam fakt, że chodzi o wybór najpiękniejszej kobiety w kraju, który słynie z węgla, ziemniaków i pięknych kobiet, jest powodem do konfliktu na miarę wojny trojańskiej. Jeśli sprawę traktować w granicach zdrowego rozsądku, to konkurs ten jest ciekawym polem do obserwacji i spostrzeżeń.

W pomieszczeniach Estrady nie czuło się atmosfery wielkiego konkursu, może ta atmosfera panowała w garderobie, w której przygotowywały się jego uczestniczki, ale nie dano się tego sprawdzić. Na początku panowała ciemność. Przerwa w dopływie prądu nie pozwoliła na rozpoczęcie imprezy o wyznaczoną godzinę. W tym czasie zjawili się kilka osób z zamiarem obejrzenia konkursu, osoby były płci brzyd-

kiej. Poinformowane, że konkurs przed publicznością odbędzie się w terminie późniejszym odchodzili bez specjalnie okazanego żalu. Jedynie dwóch panów pod pięćdziesiątkę spytało czy w rekompensacie nie można gdzieś w pobliżu wypić kielicha.

Wreszcie energetycy zlitowali się nad starzejącymi się w garderobie dziewczynami i stała się jasność. Pojawili się jurorzy, wśród nich ubiegłoroczna Miss Ziemi Lubuskiej, Violetta Tomasiak — jeszcze piękniejsza niż w zeszłym roku — i Czesław Luniewicz, jeszcze bardziej męski niż dawniej.

Pretendentki przedstawiały się, niektóre zapomniały z wrażeń, gdzie mieszkają. Po zbiorowej prezentacji na stały indywidualne przesłuchania. Z indywidualnymi przesłuchaniami rozpoczęła się smutniejsza część imprezy, choć nie pozbawiona momentów humorystycznych. Dziewczęta miały niewiele do powiedzenia na temat własnych aspiracji i zainteresowań. Nie wiedziały nawet, albo nie chciały powiedzieć, dlaczego zgłosiły się do konkursu. Pytane o spektakle teatralne, plastyczne, literackie, nie potrafiły nic powiedzieć. Jedną z dziewcząt zadeklarowała miłość do zwierząt — miała nawet chomika, ale po jednym dniu chomik wziął i zdechl. Na dwanaście, dwie dziewczyny ujawniły chęć podjęcia w przyszłości nauki w wyższych uczelniach.

Podaliśmy te fakty nie z jakiejś złośliwości, czy dla taniej sensacji, ale dla

zobrazowania pewnej sytuacji. Tegoroczne wybory miss są już czwartą edycją konkursu po jego wznowieniu. Jak już wspomnieliśmy konkurs ten znalazł spory oddźwięk w środkach masowego komunikowania. Zapewne każda z tych dwunastu dziewcząt posiadała jakieś pojęcie o konkursie, stworzone choćby na podstawie relacji telewizyjnych. Musiały wiedzieć z grubsza czego wymaga się od kandydatki na miss, poza urodą oczywiście, która jest podstawowym warunkiem usprawiedliwiający start w takim konkursie. Czy tak trudno stworzyć sobie legendę na temat własnych zainteresowań, jeśli się takowych nie posiada? Czy tak trudno jest prze czytać jedną książkę, obejrzeć jeden interesujący spektakl czy film, jeden album z reprodukcjami jakiegoś malarza? Przecież na konkurs idzie się sprawdzić swoje szanse z cichą nadzieją na wygraną. I powinno się stworzyć sobie takie szanse. W innym przypadku pozostaje tylko irracjonalna wiara na miarę krzyżyków w superlotku albo możliwość na totalne wygłupienie się, czego zapewne obawiały się liczne piękne Lubuszanek, które nie przyszły na konkurs.

Walcie dziewczyny, bo gdy węgla coraz mniej a ziemniaki pomarzę w kopcach, warto żeby któraś z was pokazała, że w tym temacie jesteśmy pierwsi!

PIOTR PIOTROWSKI

POSTAWY

Zdarza mi się spotykać ludzi — w opinii środowiska uchodzących za takich na wysokim poziomie — którzy w istocie intelektualnie stacają się bardzo nisko. Oni po prostu — nie czytają. Nie albo prawie nie. Prenumerowanie paru tytułów czasopism bądź od kładanie ich w teczkę książkowej w gło wie im się nie mieści. Machają na to ręką i wybuchają śmiechem. Papierosy — owszem, ale w ten sposób pieniędze marnować?.. Chleba z tego nie ma — mówią, awans tedy też nie chodzi. Który szef stawia pytania o lekturę, o zainteresowania czytelnicze? A skoro to rzeczy tak się mają, to gdzie sens zbierać w domu tyle makulatury?

Trudno twierdzić, że — z praktycznego punktu widzenia — nie ma tu racji. Życie idzie w sukurs tego rodzaju argumentom. Widać to wyraźnie w małych środowiskach. Jest pani magister — i już. Nikomu do głowy nie przyjdzie pomyśleć jakiegokolwiek weryfikowania wartości czyjegoś dyplomu. Stąd między innymi sytuacje, w których fachowcy po studiach zamiast się rozwijać, bogacić wewnętrznie, obniżają swoje loty. Coraz częściej znajduje znakomity kontakt z otoczeniem, z którego ludziami — z różnych powodów — nie dane było sięgać po uniwersyteckie no-

bilitacje. Oczywiście wzajemnie porozumienie się to rzecz nieodzowna, życie normalne tego wymaga.

Idzie natomiast o zasadę owych wzajemności. Ktoś, kto jest solidnie wykształcony, powinien swoim przykładem, postawą, windować najbliższe środowisko na coraz wyższy poziom — ku zainteresowaniom kulturowym, czytelnictwu, w kierunku stałym o lepszą jakość relacji międzyludzkich. Tego się nie da zrobić bez kupowania (i czytania) książek, czasopism, bez stosowania racjonalnego umiaru w konsumowaniu wszelkiego rodzaju przyjemności.

Intelektualne zaniedbanie „elity” środowiskowej, nawet w większym mieście, tłumaczone bywają niedostatkami wyniesionych z domu rodzinnych (z reguły robotniczych, chłopskich), wyobcowaniem kulturowym. Nie jest to argumentacja przekonująca. Znam interesujących ludzi, autentycznie ciekawych, wartościowych, pracujących nad doskonaleniem siebie. Doszli do sporego autorytetu, na brak szacunku nie mogą się uskarżać. Ale oni podkreślają z dumą, że wyszli z robotniczej skromności, że wyszli z zablokowanego chłopięcego podwórka. Nie unikają wstydlivie tematu: skąd kto jest. Skłonni są raczej podkreślać, jak wielką odległość

życiową pokonali. Są to — moim zdaniem — społeczne perły.

Nie zwracałbym uwagi na tę awersję do czytania, gdyby w rachubę wchodził jednostkowy tylko interes tych, którym do życia prasa i książki nie wydają się konieczne. Obojętność względem lektur powoduje implikacje o szerszym wymiarze społecznym. Wyraża skromność ambicji intelektualnych — zdaje się — istotne znaczenie dla dążeń innego typu: czy efektywniej pracować? czy być „łatwiejszym” dla otoczenia? „Funkcjonowanie” pozytywnych aspiracji w przypadku przelożonych ma kapitalne znaczenie dla całości stosunków panujących w danej firmie, instytucji.

Moje odczucia mogą być fałszywe. Czytelników bardzo docieklawych zachęcam do przeprowadzenia chociaż próbnego dyskretnego sondażu na ten temat, zachęcam przynajmniej do poczynienia uważnych obserwacji w znanych środowiskach pracy. Bez ambitnych dążeń ogólnokulturowych, intelektualnych trudno dopasowywać się do coraz bardziej skomplikowanej rzeczywistości.

STANISŁAW SWINIARSKI

jak z dobrego kryminału: „W półmroku przestrzeni, gdzie tylko kilka świec zarysowało swym nikłym światłem zgro madzony, kilkusetosobowy tłum rozległ się cichy pomruk. Z wolna potęgował się wypełniał ową przestrzeń, by stać się dominującym bodźcem przyciągającym percepcję zgromadzonych...”. Ale to nie był pomruk przestępcy. Był to „Pomruk wydobywany przez Andrzeja Mitana niejako z wnętrza biologicznego i psychicznego własnego jestestwa...”. Po tych godnych Przybyszewskiego zdaniach wreszcie zrozumieliśmy, iż chodzi m.in. o twórcę inicjatywy Zbigniewa Szymanika i Zenona Polusa, aby wreszcie cież odetchnąć przy optymistycznej ocenie Biennale: „To co jest jego siłą, to przede wszystkim młodość, młodość zaś — to przyszłość”. Młodości, ty nad pozio my... — zawtórował wieszcz.

MY, DINOZAURY. Zygmunt Trziszka pomiescił na łamach „Tygodnika Kulturalnego” (nr 6) wspomnieniowy tekst o Zielonej Górze i ludziach z nią związanych, tytułując go „Na ludzką miarę” i zaopatrując podtytułem: „W takim mieście chce się żyć, a nawet umierać jest tu mniej straszne”. Spotykamy znajome nazwiska: Władysława Korczy i Wiesława Sautera, Edwarda Hładkiewicza i Henryka Ankiewiczza, Zenona Łukasewicza i Hieronima Szczegóły, Janusza Koniusza i Jana Muszyńskiego, Zbigniewa Ryndaka. W tym dos tojnym orszaku nie zabrakło, oczywiście, pań — dziennikarek: Eugenii Pawłowskiej, Ireny Kubińskiej i Ireny Solińskiej. „To matki chrzestne dzisiejszej wojewódzkości Zielonej Góry” — pisał

autor, który ze skromności pominał swoje, znane nie tylko na Ziemi Lubuskiej, nazwisko.

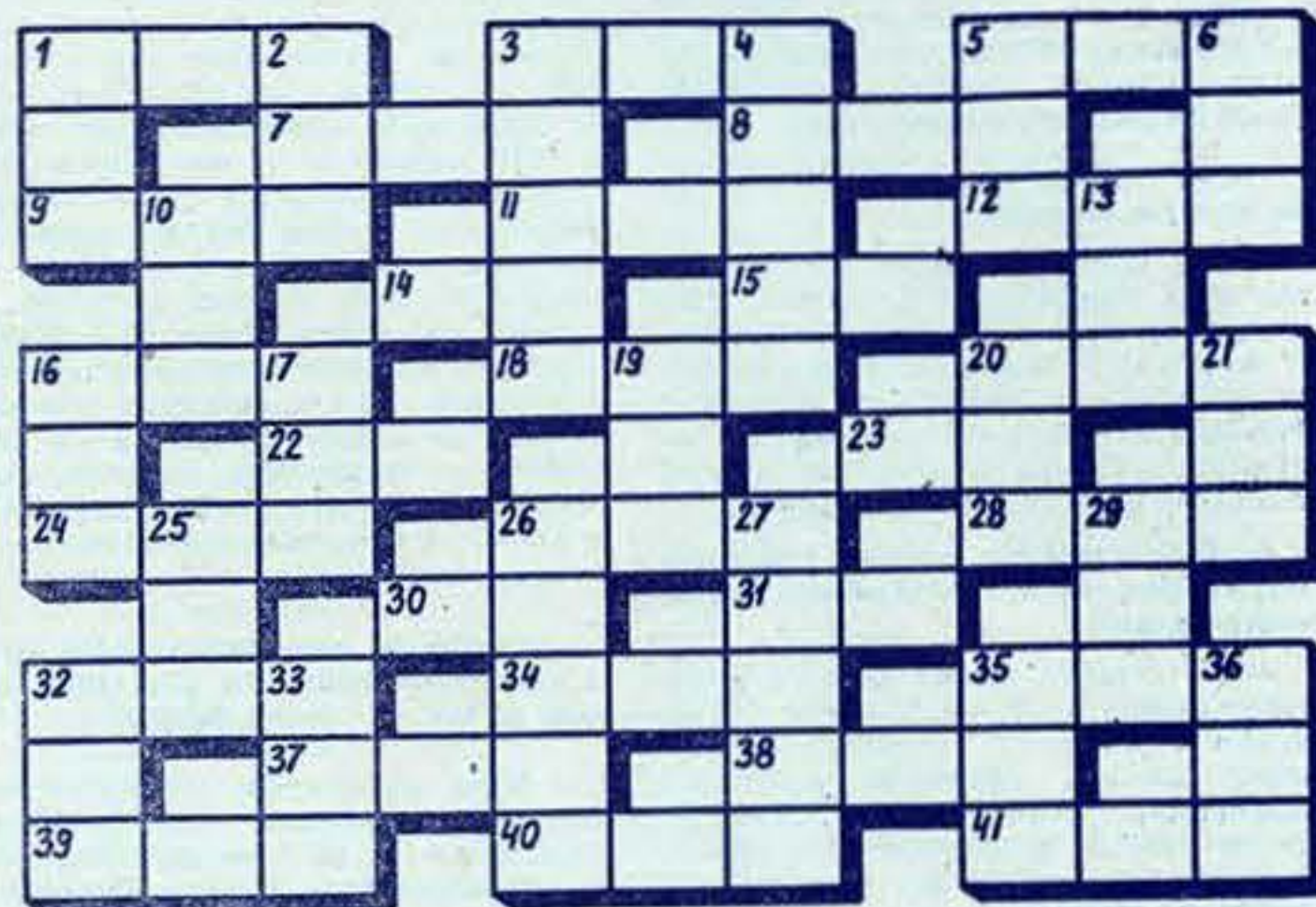
KOBIETY NA... AMBONACH? W lubelskiej „Kamienie” (nr 3) czytamy wiersz Marka Danielkiewicza. Szczególnie zainteresował nas jeden liryk: „Do polityki się nie wtrącam; i tak w ogóle mam jej dość; czasami jednak palnę wierszyk; bo coś mnie koci. Nie lubię kobiet na trybunach; mówią piskliwie ciągle lkają; one też pragną na ambonach; ale bez walki nie dostaną”. Ta perełka polskiej poezji jest tak odważna, że aż szokująca.

RECEPTA NA ROZUM. Anna Błazucka z „Rzeczywistości”, której już dawno nie gościł na naszych łamach, pisze w nr 7 pisma: „Jeśli chodzi o mnie jestem rozmiłowana w rozumie, co przejawia się między innymi w tym, że mężczyźni, którzy wyposażeni są tylko w jego krzyżynę, nie mają żadnych szans. Każdego chłopca, który ma na mnie chrapkę badam wprzód z pomocą trzech różnych testów na inteligencję i dopiero po uzyskaniu pozytywnego wyniku baczę, czy aby wyposażeni są również w inne walory niezbędne mężczyznom. Gdyby wszystkie kobiety w Polsce zastosowały się do moich zwyczajów, poziom życia umysłowego w naszym kraju z całą pewnością podniósłby się niepomniernie i niemielibyśmy tych kłopotów, jakie mamy nie tylko zresztą z dwuetapową reformą gospodarczą”. Szkoda, że pani Anna nie ujawnia, jakiego rodzaju testy używa badając inteligencję mężczyzn i — o jakie inne walory jej chodzi?

nadodrze

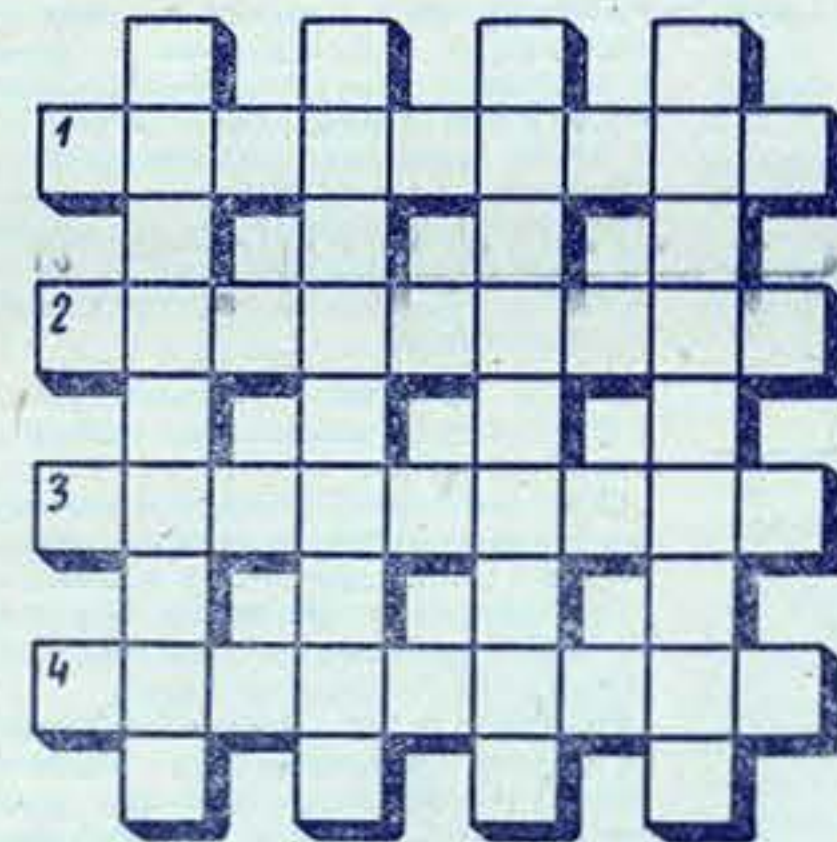
ROZRYWKI UMYSŁOWE

Redaguje Zielonogórski Klub Szaradzystów



KRZYŻÓWKA SYLABOWA
(Oprac.: „WWP”)

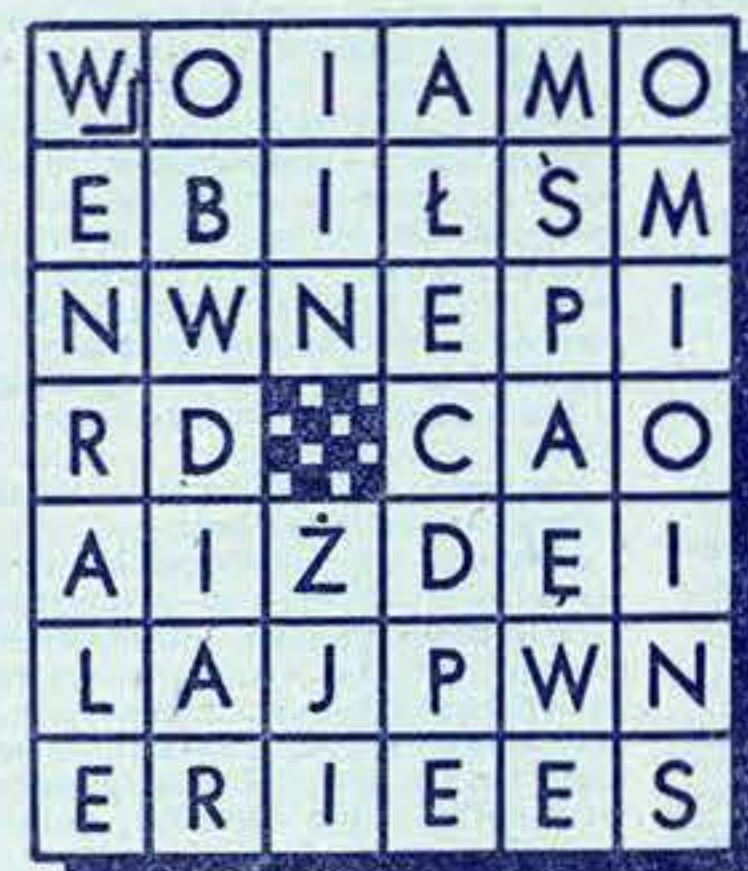
Poziomo: 1. Kaptur, 3. Kolebka, 5. Siedziba gajowego, 7. Ważne w kuźni, 8. Imię Hanin, 9. Miasto wojewódzkie, 11. Mieszka w Brześciu, 12. Zły los, niepowodzenie, 14. Miasto nad Narwią, 15. Korpus, 16. Przynosi wstyd rodzinie, 18. Futerał pistoletu, 20. Zawody wioślarskie, 22. Ujeżdżalnia koni, 23. Udaje, pozuje, 24. Zasobny w kopaliny region Zairu, 26. Dworski taniec korowodowy, popularny przed dwustu laty, 28. Kraina historyczna w Belgii, 30. Śnieżka, 31. Otyłość, 32. Staroegipski grób, 34. Osobistość, dygnitarz, 35. Agonia, 37. Przedzina do wyrobu ręczników i przecieradeł kąpielowych, 38. Lewy dopływ Warty, 39. Piłtino inroligatory, 40. Przywódca chłopów podczas rewolucji 1910 r. w Meksyku, 41. Lichy utwór literacki.
Pionowo: 1. Składnik czekolady, 2. Meander, 3. Mieszka w Kołobrzegu, 4. Coś zdeformowanego, przejakrawionego, 5. Jeśli austriackie, to brednie, 6. Zespół muzykantów, 10. Wnosi pozew w procesie cywilnym, 13. Herb szlachecki używany m. in. przez Mycielskich, Lasockich i Dolegów, 16. Zamieć, śnieżnica, 17. Niedzara, niedolega, 19. Atrybut hetmana, 20. Zapas, 21. Ucisł, despotyzm, 25. Klepski wyrób, towar, 26. Zaułek, 27. Zwolennik naturalizmu, 29. Miasto nad Jez. Genewskim, 32. Ponoć przynosi szczęście, 33. Malijska metropolia, 35. Zająca, portiera, 36. Brak zdolności mówienia z zachowaniem słuchu.



KRZYŻÓWKA MAGICZNA
(Oprac.: „ŚLAWICZ”)

Znaczenie wyrazów:

1. Jest nim chrabaszcz i żuk,
2. Na grzbiecie dzika,
3. Ser z owczego mleka,
4. Osądzenie, ocenowanie.



KONIKÓWKA

(Oprac.: „CELESTIAL”)

Posuwając się ruchem konika szachowego (poczynając od lewego górnego pola — oznaczone), odczytać rozwiązanie — myśl Czesława Banacha.

Rozwiązanie zadań prosimy nadsyłać w terminie 14 dni od daty ukazania się numeru. Wśród Czytelników, którzy nadesłali rozwiązania wszystkich zadań rozlosujemy nagrodę książkową wartości ok. 500 zł, zaś pozostałe nie wylosowane rozwiązania wezmą udział — razem z nadesłanymi dwoma rozwiązaniami — w losowaniu dwóch nagród książkowych po ok. 200 zł. Na kopercie prosimy nakleić zamieszczony obok kupon.

ROZWIĄZANIE ZADAŃ Z NR 1:

Krzyżówka: C — 9, S — 25, Z — 32.
Krzyżówka ilustrowana: „Co było nie wróci”.

Mała krzyżówka — Poziomo: kunktorstwo, impertynencja. Pionowo: surmia, akces, Dante, Bornu, osina, dwoje.

Nagrody książkowe wylosowali: p. Mira Wiązek, Cieplikowo, 74-225, Trzcin ska Zdrój (za rozwiązanie trzech zadań) oraz p. Stanisław Machowski, ul. Wojska Polskiego 7/13, 59-300 Luban Śląski i p. Maria Kołosińska, ul. Bohaterów Warszawy 10/5, 66-400 Gorzów.

ROZWIĄZANIE ZADAŃ Z NR 2:

Krzyżówka

Poziomo: przymus, trzepak, zbiór, Zy-gadło, zapalka, ratka, kontakt, spławik, wykopki, storno, szansa, tuneja, trufia, kocher, stępa, barkas, psisko, kono-wal, unika, oltarz, rzygacz, szkrab, apa-rat, polać, lutnik, donżon, kolia, Ana-tol, pranie. Pionowo: przekas, zagon, modla, szorty, piętrowy, trzask, zapal, pol-łow, klarkia, taryfikator, kwota, pisak, anarchista, Konstantynopol, przepowia-danie, torba, szejk, brukselka, skarb, płoża, czytanie, kutia, awizo, Piotr, rozeń.

Logoryf — „Zawsze decyduje czyn”.
Kalambur karuzelowy: — Zwierzyna.
Nagrody książkowe wylosowali: p. Daniel Dubowski, skr. poczt. 23, 58-400 Kamienna Góra (za rozwiązanie trzech zadań) oraz p. Krystyna Pokrzywa, 38-302 Jasienka i p. Elżbieta Kowalska, ul. Reja 6, 65-076 Zielona Góra.
Nagrody wysłamy pocztą.



MaRGINAłki

O AWANGARDZIE RAZ JESZCZE. Pod takim tytułem zielonogórski krytyk sztuki Zbigniew Szymaniak opublikował w 5 numerze czasopisma „Sztuka” szkic o współczesnej awangardzie w sztuce. Pisze m.in.: „Myślę o na-poty nihilistycznych prezentacjach „Łodzi Kaliskiej” — grupy twórców u swej ideologii wyraźnie kontestujących wobec wartości zastanych. Wartości jakie właśnie prezentuje ta grupa są przede wszystkim intelektualne. Wynika z tego, że wartości intelektualne w sztuce kojarzą się krytykowi z nihilizmem. Jak tedy pojąć opinię o twórczości J. Berdyszaka: „U tego artysty może w jakimś stopniu wykluczając okres zain-teresowań filozofiami wschodu — od dawna preferowana jest sfera idei komunikacyjnych. Jest ona co prawda dość specyficzna, gdyż wiąże się ściśle z tym co wizualne w sztuce. Moment ten artysta czyni pretekstem refleksji by w konsekwencji budować przekaz intelektualny, który staje się naczelną wartością estetyczną”. Czy Berdyszakowi — idąc za myślą krytyka — nie grozi więc nihilizm?

CICHY POMRUK. W tym samym numerze „Sztuki” zielonogórzanina Brygida M. Grzybowa pisze o „Pierwszym Biennale Sztuki Nowej”, które odbyło się w Zielonej Górze. Początek tekstu